zwierciadło

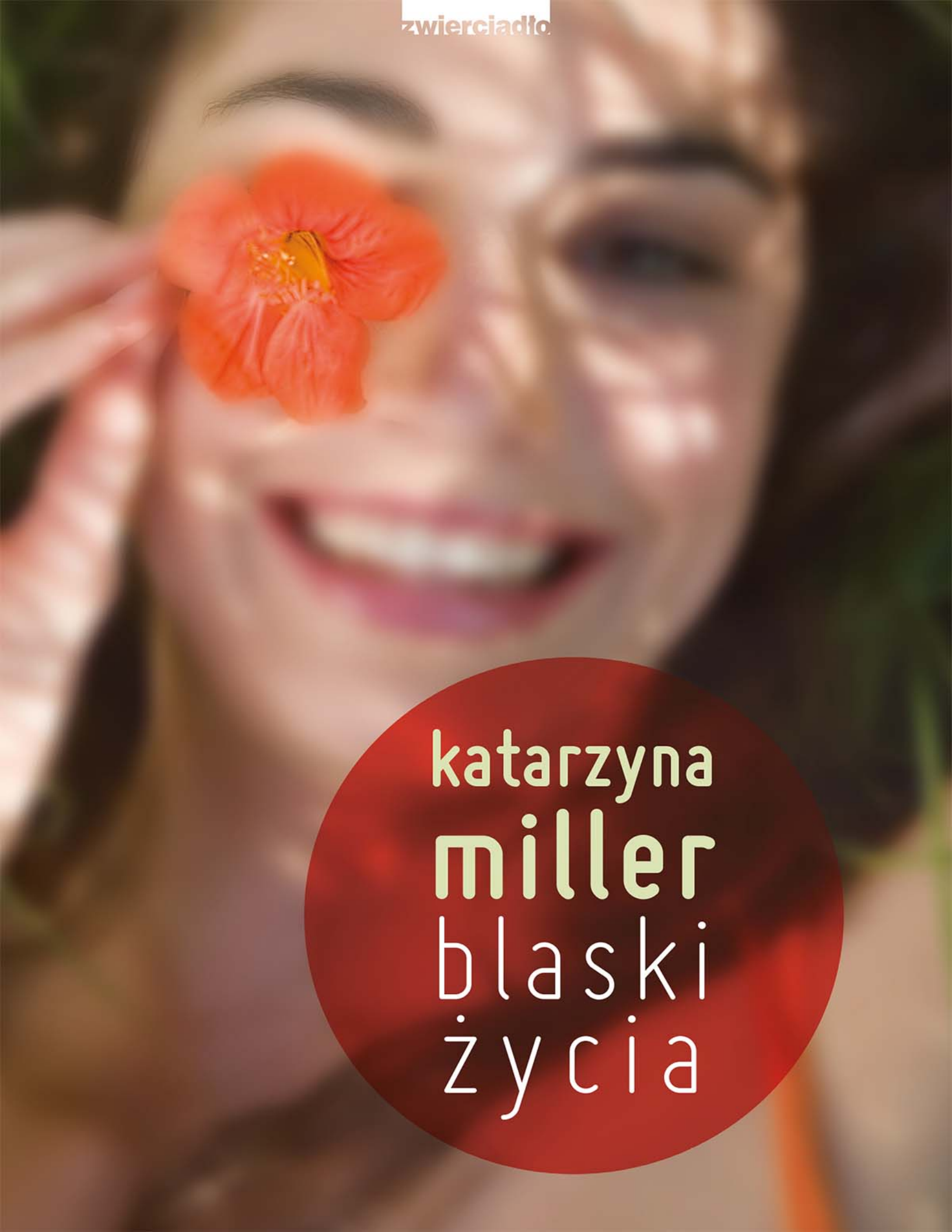

katarzyna
miller
blaski
życia

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

zwierciadło

katarzyna miller

blaski życia

Spis treści

Pochwała szefa
Małe jest ważne
Mam elfa!
O ważności chorowania
Menu dla kobiety
O rozkoszności flirtowania
Zaplanować los?
Cud czytania
Pożegnanie z Olgą
O panach i paniach
Tutaj i tam
Żadnych obowiązków
Trochę o miłości
Potrzebna
Własny pokój
Prawdziwe kłopoty
Nasi dziadkowie
Odwaga uczciwości własnej
Lek na głupotę

Święto rozwodu
Cierpliwość
Kongres kobiet i mężczyzn
Sknerstwo emocjonalne
Pomocne sny

Pochwała szefa

•

Szef jest samotny.
Nie trzeba aż takiej znowu
wielkiej empatii,
żeby to zauważyć.

OD LAT JESTEM SOBIE STEREM, ŻEGLARZEM, OKRĘTEM I BARDZO TO SOBIE CHWALĘ. Ale muszę przyznać, że nie umiałabym być sobie szefem od początku mojej legitymacyjnej dorosłości, bo dojrzewałam do podjęcia pełni odpowiedzialności długo i z oporami. Szefowie (i mistrzowie) byli mi niezbędni. Szef to postać archetypowa, czyli znana ludzkości od jej zarania we wszystkich kulturach. Od wodza plemienia, przez władców, panów,

do majstrów, dyrektorów, prezesów, sierżanta czy redaktor naczelnej. Jak ważna to postać, opowie anegdota. Przychodzi klient do sklepu zoologicznego. „Poproszę papugę, która mówi w paru językach”. Sprzedawca pokazuje zieloną papugę: „Ta mówi po francusku i niemiecku. Kosztuje 1000, a ta żółto-czerwona mówi jeszcze po czesku i kosztuje 2000. Ta błękitna zna dodatkowo angielski, kosztuje 3000”. Klient pyta: „Tam, wyżej, siedzi taka biała, w ilu językach mówi?”. Sprzedawca: „Nie mam pojęcia. Nigdy jej nie słyszałem. Kosztuje 10 000”. „Dlaczego?!” „Bo wszystkie mówią do niej: Szefie!”

Miałam bardzo różnych szefów. Najlepszym była kobieta i najgorszym była kobieta. Ta najfajniejsza (szefowa działu personalnego w dużym ministerstwie) miała w sobie spokój, zaufanie do ludzi, ale bez naiwności, była sprawiedliwa, dawała wiele przestrzeni na decyzje podwładnych, opieprzała na osobności, zdrowo, ale merytorycznie

i tylko raz. A chwaliła szczerze, z radością i przy wszystkich. Dbała o pieniądze dla pracowników. Nastrój w jej dużym liczebnie dziale był taki, że ludzie przychodzili do pracy z wielką ochotą, szanowali się i lubili ze sobą zarówno pracować, jak i się bawić. Wraz ze zmianą rządu przyszedł jednak nowy minister, a wraz z nim młodsza i ładniejsza pani dyrektor. Gdybym wtedy pisała, miałabym pod nosem gotowy scenariusz: „Jak w trzy miesiące zepsuć pracę wielu lat i zdezintegrować świetnie współpracujący zespół”. Dama owa była od tego specjalistką. Skłóciła ludzi, zaprowadziła system donosów, a ponieważ nie wszyscy się w tym odnaleźli, niektórzy chodzili, zadzierając nosa po niesprawiedliwie rozdzielanych premiach, inni cierpieli z powodu wrzodów, pozostali nie sypiali po nocach i rozglądali się za nową pracą. Mnie, na szczęście, skończyła się czasowa umowa.

Bywa, że pracownicy integrują się przeciw szefowi. Ale możliwe to jest wtedy, gdy wszystkich traktuje on (ona) podobnie nieżyczliwie lub zbyt surowo lub gdy faworyzuje jedną osobę (wtedy pupil zbiera jeszcze więcej złości niż sam szef). Czasem podwładni wspierają się wzajemnie i wspierają też szefa, gdy jest on słaby merytorycznie, ale ufa swoim pracownikom i szanuje ich profesjonalizm. Powiedzmy sobie też, że relacja z szefami świetnie się nadaje na projekcję naszych problemów z rodzicami i że pracując nad dorosłym rozwiązywaniem spraw z przełożonymi, zbliżamy się jednocześnie do dojrzalszej postawy wobec rodziców. I odwrotnie! Miałam kiedyś szefa, od którego mogłam się dużo nauczyć. Uległ ciężkiemu wypadkowi. Poruszyło mnie to ogromnie, że mogłoby go zabraknąć. Niczym stały się wtedy jego zmiany nastrojów, które nas czasem niemile zaskakiwały. O paradoksie, wtedy zrobiłam wielki krok

w dorosłość. Przyznałam się przed sobą, że mnie nie stać na takie szefowanie i zbudowanie dla wielu ludzi miejsca wspaniałej, rozwojowej pracy. Że ten człowiek jest cenny, potrzebny, twórczy i że niczym przy tym są jego humory. Niech je sobie ma i niech będzie dalej. Ja się chcę nadal od niego i przy nim uczyć i rozwijać. Chciałam też, żeby wiedział, że tak właśnie czuję, i powiedziałam mu to ze wzruszeniem i radością, gdy wrócił do zdrowia… Szef jest samotny. Wiem, sama byłam. A nawet gdybym nie była, nie trzeba aż takiej znowu wielkiej empatii, żeby to zauważyć, prawda? Weź pod uwagę słowa pewnej ciepłej szefowej: „Czy ktokolwiek chętnie zastąpiłby mnie w tym okropnym obowiązku, kiedy czasem muszę kogoś zwolnić?”.

Małe jest ważne

•

Kiedy ktoś mówi: „Wszystko mi jedno”, staje się dla mnie osobą podejrzaną.

DZIŚ O MAŁYM PRZEDMIOCIE WIELKIEJ MIŁOŚCI. Dla mnie. Ale widzi mi się, że dla wielu z Was także. Szybko, palce w górę: Kto ma ukochany kubek? A widzisz? Masz. Fajnie. Był taki czas, żeśmy się bali, że będzie wojna. Zadzwoniła do mnie znajoma z histerią, że oni już podchodzą pod Warszawę. Nie dałam się porwać panice, ale… Właśnie chciałam sobie zrobić herbatę przed tym telefonem. Wróciłam do szafki z kubkami i zamarłam na dłuższą chwilę… A gdyby wojna rozszalała się naprawdę? Co będzie z robieniem sobie

herbaty? Co z moją szafką i kubkami? Wojna to opuszczanie, tracenie domów, nie wspominając już o zagrożeniu życia. Ze starych wojen wiem, że trzeba mieć na nogach wygodne, mocne buty, a na grzbiecie coś ciepłego, ale lekkiego, ze sobą chlebak z nożem, cebulą, smalcem, herbatą, a jeśli się ma, to klejnoty, ale ja nie mam. I kubek. Metalowy. Aha! I zapałki. To brzmi jak przebranie na zabawę surwiwalową. Ale skąd mamy wiedzieć, co potrzeba na nową wojnę? Mówiło się: Białe prześcieradło na plecy i czołgać się w stronę cmentarza. To po co wtedy kubek? Czy Wy o tym czasem myślicie, kiedy siedzicie w fotelu z herbatą? Kubek grzeje dłonie. Można dodać cytrynę, mleko, sok malinowy, imbirowy i inne cuda. Mój ukochany pije około dziesięciu herbat dziennie, a mój kumpel – kawę z mlekiem i miodem. Prosiłam lubego, żeby mi ofiarował taki mały talerzyk w kwiatki swoich dziadków. Ogromnie lubię w kwiaty,

szczególnie w róże. A on, że mowy nie ma, bo to już ostatni z Bolkowa, gdzie dziadkowie przetrwali kilka lat po wojnie w dawnym domu niemieckiego burmistrza, i że to jest talerzyk historyczny. I tak burmistrz Bolkowa wszedł w moje życie. On zostawił swoją całą porcelanę, uciekając w drugą stronę niż ta, z której uciekali warszawiacy lub ci z Kresów, także zostawiając wszystko po sobie. Cud, że tyle tego zostało. Często więcej rzeczy niż ludzi. Wynalazłam superkubas, litrowy, wyobrażacie sobie, na Kole (targu staroci w Warszawie). Cudo, w kwiaty oczywiście. Ciekawe, po kim on. Ciekawe, kto w nim będzie pił, jeszcze po mnie, jeśli się uchowa. Dużo ludzi lubi duże kubki. Kiedy się tacy ze sobą spotkają, następuje miły moment rozpoznania swojego człowieka. O, ja to najchętniej w wielkim piję. Żeby na długo starczyło. Ja tak samo. Najlepiej w takim wielkości nocnika. O właśnie. Ofiarowujemy sobie kubki. To fajny prezent. I bezpieczny, bo

ogólnoludzki i jednocześnie osobisty. I jak bezpieczne wydaje się (i jest) życie, w którym deliberujemy, kogo obdarzyć kubkiem z jego fotografią. Życie, w którym do przeszłości przeszły grube fajanse z brązowym szlaczkiem z barów mlecznych. Wtedy kupowało się natychmiast coś, co było ładne, bo to okazja. Długo mnie trzymała ta pazerność, a i teraz lubi się odezwać. Minimalizm stał się modny, ale co by robił rynek bez gadżeciarzy? Prowadzę warsztaty na Starym Mieście. Zaniosłam tam jeden z moich solidnych kubeczków. Lubię, że jest na nim kartka: „Kubek Kasi”. Kiedy odwiedzam redakcje, studia, gabinety, zawsze mi się podoba i wciąga przez chwilę moment robienia mi kawy czy ziółek, bo oglądam wtedy kolekcję przeróżnych kubasków i dopytuję: „Czy mogę dostać w tym dużym pomarańczowym?”. „Nie, bo to szefowej”. „A w tym zielonym z angielskim polowaniem?” „Nie, bo to naszego fotografika”. „A ten, ach,

w różyczki?” „Tego ci użyczę na chwilę, bo to mój”. „Jak miło, dziękuję”. Bardzo lubię, żeby mój gość rozejrzał się w moim bogactwie i zażyczył sobie: „Ja proszę w tym!”. Kiedy ktoś mówi: „Wszystko mi jedno”, staje się dla mnie osobą podejrzaną i od razu jest o tym informowany, czy to znajomek, czy klient. Bo jak sobie radzisz z wyborami w dużych sprawach, kiedy w małych nie potrafisz lub, co gorsza, nie chcesz wiedzieć, czego chcesz? Nie lekceważmy małych radości. Wtedy będą przychodzić do nas coraz większe.

Mam elfa!

•

Czasem coś dziwnego wytrąca nas z transu zwykłej codzienności.

ROZMAWIAMY Z PIOTREM O TYM, ŻE NA SZCZĘŚCIE ŻYCIE BYWA NIEZWYKŁE! – Mam taką opowieść – mówi Piotr. – Jest sobie miły dom mieszkalny, którym administruje pewna miła pani Zosia. Może dlatego ludzie się tam lubią i są dla siebie uprzejmi. Szczególnie ważna jest pani Zosia dla pana Tomka, 30-letniego mężczyzny z zespołem Downa, który mieszka w tym domu od początku. Pan Tomek świetnie radzi sobie od lat z samodzielnym życiem, jednak chętnie dzieli się z panią Zosią swoimi kłopotami i radościami. W ogóle lubią się

oboje, bo oboje są serdeczni i potrzebują kontaktu z ludźmi.

Pewnego dnia odezwał się u pani Zosi telefon. Dzwonił pan Tomek, niezwykle podekscytowany: „Pani Zosiu, musi pani do mnie natychmiast przyjść – mam elfa!”. „Co pan ma, panie Tomku?!” – nieco nieprzytomnie zakrzyknęła pani Zosia. „Mam elfa!” „Aha, to potem, panie Tomku, teraz jestem bardzo zajęta!” I całkowicie o owym telefonie zapomniała. Pan Tomek zadzwonił znów po paru godzinach: „Pani Zosiu, mam elfa, niech pani do mnie przyjdzie”. „Aha, to pan, zaraz przyjdę, panie Tomku”.

Poważny i przejęty pan Tomek otworzył przed nią najpierw drzwi wejściowe, a potem drzwi łazienki. Skurczony ze strachu siedział na sedesie karzeł. Okazało się, że to pan Zdzisiek, który roznosił ulotki w budynku, został złapany przez pana Tomka i umieszczony w łazience jako prawdziwy elf, trofeum dla pani Zosi.

– Ojej – powiedziałam – jakie to ładne. Nie wiedząc o tym, żyjemy w bajce.

– Mnie też się podoba – powiedział Piotr, który jest mężczyzną wrażliwym i coraz bardziej pogodnym.

– Najtrudniej w tym wszystkim było pewnie panu Zdziśkowi, bo się strachu najadł, parę godzin pracy stracił i nie wiedział, co z nim będzie – stwierdziłam. – Jak myślisz, czy było mu miło, że został wzięty za elfa? Czy był wściekły?

– Tego nie wiem. Ale został, oczywiście, przeproszony, potem pan Tomek i pani Zosia roznieśli z nim ulotki i zjedli razem kolację.

– To chyba się udobruchał. Wiesz, przypomina mi to norweskiego *Ellinga* i francuski *Ósmy dzień*.

– Znam oba, wspaniałe, bardzo ciepłe – uśmiechnął się Piotr.

– Tak, ale popatrz, ciepłe w efekcie przegryzania się przez coś trudnego, innego,

niż znamy. Ich bohaterowie nieźle wkurzają otoczenie. Zmuszają do zatrzymania się, kiedy chcielibyśmy działać rutynowo i upatrywać w tym naszą wyższość. Elling, straszliwie lękowy, znaleziony w szafie po śmierci nadopiekuńczej matki, i Georges, naznaczony jak nasz Tomek zespołem Downa. Wrażliwi, twórczy, ale inni. My, tacy przystosowani, szybcy w reakcjach i ocenach, musimy przy nich weryfikować swoje gotowce myślowe i emocjonalne i zdać sobie sprawę z ich pozorności i płytkości. Dociera do nas, choć z trudem, że to na stereotypach w dużym stopniu opiera się nasze poczucie bezpieczeństwa, że mamy je zapewnione, dopóki coś dziwnego nie wytrąci nas z transu zwykłej codzienności. W twojej opowieści, Piotrze, nie-codzienność dzieje się jeszcze ciekawiej, bo między tymi, którzy są inni. Inny porywa innego i go „ubajkawia”. Leśmian nazwałby karła niziołkiem. Tomek – elfem. Spotkał kogoś dużo mniejszego od siebie i nie

jest to dziecko. Używa przemocy fizycznej, tak, to nic fajnego, ale jak inaczej pokazałby najważniejszej dla siebie osobie, czyli pani Zosi, że istnieją jeszcze inne oryginalne byty i w dodatku, że da sobie z nimi radę. Przypuszczam, choć nie wiem, że właśnie to okazanie było najważniejsze. Chyba Tomek nie chciał Niziołka przetrzymywać, chciał go pokazać natychmiast po złapaniu. Pokazał go Zosi, Piotrowi, mnie… A więc mamy elfa…

O ważności chorowania

•

Mocno w tej sprawie zbezczelniałam. Że niby nic się mnie nie ima…

LATAMI NIE CHOROWAŁAM. Mocno w tej sprawie zbezczelniałam. Że niby nic się mnie nie ima oprócz normalnych spadków kondycji ze zmęczenia. Więc kiedy po tygodniu śluzu z nosa, bólu gardła typu krojenie żyletką, totalnego osłabienia i niemożności spania, zamiast zdrowieć, dostałam gorączki, posłuchałam w końcu Edka. Wcześniej kłóciłam się ostro, że świetnie sobie poradzę bez antybiotyków, teraz wezwałam lekarza. Ostre zapalenie oskrzeli. Jestem chora naprawdę. Mam siedzieć w domu. Głównie

siedzieć, leżeć się nie da, bo śluz zalewa, jak tylko się położę.

No taaak… to wypiorę stertę brudów, które się zebrały od jakiegoś czasu, posprzątam w szafach i papierach, bo narosło bałaganu. W końcu jestem ciurkiem w domu i nic nie robię, co mi się normalnie nie zdarza. Nie mogę czytać, bo nic do mnie nie dociera, ani tym bardziej pisać. Ale przecież w domu jest zawsze tyle do zrobienia. Słaniając się, coś przenosiłam, układałam, czyściłam. Z poganianiem siebie samej i wyzywaniem od much w smole włącznie. Trzeciego dnia takiej działalności najpierw wybuchnęłam płaczem, a potem stanęłam jak wryta i usłyszałam moje Wewnętrzne Dziecko, które zrozpaczone krzyczało: „Co ty mi robisz?! Chcesz mnie wykończyć?!”. O matko!

Dotarło do mnie, co robię. Własnymi rączkami dobijam siebie. Bez litości i współczucia. Jestem chora najprawdopodobniej dlatego, że od dwóch lat

nie zrobiłam sobie porządnego urlopu, bo buduję dom, więc szkoda mi czasu i pieniędzy. Ponieważ dom drewniany i na wsi, bo przecież wszystko dla zdrowia, odpoczywać zacznę, jak go skończymy. „Przepraszam cię, kochanie, przepraszam – uspokajałam niezwykle poruszone, jednocześnie załamane, a z drugiej strony – rozgoryczone Wewnętrzne Dziecko – już nie będę cię do niczego zmuszać, nic nie rób, tylko to, co sprawi ci ulgę lub przyjemność. Zrozumiałam, zapamiętam!” Nigdy dotąd moja Mała Dziewczynka nie dała o sobie znać tak mocno, tak radykalnie. Naprawdę przekroczyłam jakieś granice. Ale też Ona użyła swojego głosu tak, żebym go usłyszała. Gdyby żaliła się słabiej, nie dotarłoby to do mnie… A może ona już od dłuższego czasu próbuje mi coś przekazać, tylko ja w nieprzytomności zdobywania celu nie słucham? I trzeba było aż choroby?!

Zasnęłam na trochę w fotelu i przyśniło mi się krótko, ale pocieszająco. Najpierw zbierały

się jakieś luźne grupki ludzi, a potem wszyscy poszli razem w jedną stronę. Obudziłam się ze słowem „razem” i wiedziałam, że nareszcie wszystkie części mnie zebrały się w kupę i zaczną współdziałać. O tak! *Medice, cura te ipsum! (Lekarzu ulecz samego siebie!)*

A na obrzeżach, w świecie zewnętrznym, działo się coś fantastycznego. Otwierała się szeroka brama dla mojego chorowania. Wszystkie, dosłownie wszystkie zajęcia, które miałam zanotowane w kalendarzu, SAME przemieszczały się na inny termin, odwoływały, zmieniały. Niczego nie zawaliłam, niczego nie musiałam odwoływać, nikogo zawieść! Czegoś takiego w takim natężeniu nigdy dotąd nie doświadczyłam.

Trwało to prawie miesiąc. Długo. Jedna dwunasta roku. Z jednej strony, męka niemożności spania, rzężenie w piersiach, obtarty nos, oddech jak zarwany dach (to z jednego mojego wiersza), poty i zimno, totalne odmóżdżenie. A z drugiej – poczucie

ciszy, jasności, porządku i współgrania. Na jakimś wyższym poziomie, do którego zostałam dopuszczona pomimo mojej głupoty, nieuważności i bezmyślnej pychy. Jak zawsze awers i rewers tej samej sprawy. Nasza ludzka ułomność i wielość możliwości. Nie ma zdrowia bez choroby. Blaski życia i cienie. Jednocześnie. Dziękuję.

Menu
dla kobiety

•

Wyobrażałyśmy sobie, że szpital ofiarowuje nam kwiaty po porodzie…

TRZYMAM W RĘCE ŁADNĄ SKŁADANĄ TEKTURKĘ PT. *ROOM SERVICE MENU*. W niej wyszczególnione zakąski, desery, napoje, karta win z szampanami. Lunch menu, dinner menu, child’s menu, kosher menu. Przy tym ostatnim już się zorientowaliście, że rzecz proponowana jest nie u nas.

Ale wiadomo: wszystkie restauracje mają w menu podobny spis treści. Cóż w tym niezwykłego? Dostałam to menu od znajomej, która czas jakiś przebywała w Anglii. Była w ciąży, wyjątkowo trudnej. Znajoma musiała

iść więc do szpitala. Leżała tam bardzo długo. Opieka była fantastyczna. I medyczna, i pielęgniarska. Ale było coś jeszcze. Każda matka po porodzie, gdy już trochę sobie odpoczęła, dostawała niezwykle wykwintny obiad, a do tego szampana – wszystko w uznaniu jej dzielności i aby podkreślić uroczystość chwili. A karta z menu, którą teraz mam w dłoni, jest kartą The Portland Hospital for Women and Children. Znajoma specjalnie ją przywiozła, żeby pokazywać u nas komu się da.

Jej ciąża skończyła się, niestety, bardzo smutno. Znajoma poroniła w siódmym miesiącu. Jakież było jej zdumienie, gdy dostała do rąk menu „poporodowe” i poproszono ją, żeby wybrała sobie, co chce zjeść. Sonia płakała: „Ale przecież ja nie urodziłam dziecka”.

„Jak to nie?! Pani poród był jeszcze trudniejszy, bardziej bolesny i wyczerpujący niż wszystkie tzw. normalne. Ten ekstraobiad

to wyraz uznania i szacunku dla pani z naszej strony. To nie jest obiad powitalny dla dziecka, tylko dla uczczenia kobiety, która rodzi”. Poczuła się nieco lepiej w swoim cierpieniu. Później zaczęła się zastanawiać, jak odbyłoby się to w Polsce. Jej poronienie byłoby pewnie ukryte, a już na pewno nie byłoby uszanowane jak poród. Zresztą i porody niespecjalnie są uznawane za święto. Sonia wiedziała, jak to wygląda, bo rodziła w Polsce już parę razy.

Przywiozła więc to menu specjalnie. Jakież było jej zdziwienie, gdy kolejne kobiety, którym je pokazywała, opowiadając o swoim przeżyciu, reagowały bardzo podobnie: „No wiesz, to już jest chyba jakaś przesada! Po co to? Ich może na to stać, ale u nas na igły jednorazowe nie ma pieniędzy. Na salowe. Czego tobie się zachciewa?!”. I żadna nawet się nie uśmiechnęła, że to ukłon w stronę kobiety i ciepły gest wobec niej. „W pani była moja nadzieja, że pani to przynajmniej inaczej przyjmie” – powiedziała z wielką ulgą Sonia,

gdy zachwyciłam się stylem i klasą The Portland Hospital i westchnęłam: „Kiedy my się tego doczekamy w naszych szpitalach? Przeszkodą są nie tylko braki finansowe”. Wyobrażałyśmy sobie przez chwilę, że szpital ofiarowuje nam takie menu albo kwiaty po porodzie i – tak!, również po poronieniu. Jeśli już w ogóle pojawia się taka (lub podobnego typu) oferta, musi iść za nią zmiana dotychczasowych nawyków. Pacjent(ka) staje się gościem szpitala, a raczej jego personelu. Żeby taki klimat mógł zaistnieć w szpitalach, musi najpierw zaistnieć w umysłach, w wyobraźni, w oczekiwaniach. Musi się pomieścić w głowach. I nie mówcie, że to mrzonki, bo u nas jest tyle nierozwiązanych poważniejszych spraw, że nawet wstyd z takimi przykładami się spieszyć. Mamy mieć przecież politykę prorodzinną. Ale, niestety, nie prokobiecą. Czemu same kobiety się na to godzą? Siła

przyzwyczajenia. No to zacznijmy się odzwyczajać.

O rozkoszności flirtowania

•

W miłości dużo inwestujemy bez żadnej gwarancji, że się koszty zwrócą.

WSIADAM DO TAKSÓWKI. Za kierownicą przystojny wielki facet. Wściekły. Nie patrząc na mnie, rzuca: „Dokąd jedziemy?”. Podaję adres. Ruszamy. Patrzę na niego i zastanawiam się: Warto czy nie warto? A co tam, spróbuję. Mówię: „Żeby taki piękny mężczyzna był taki zły od rana…”. „Brzuch mnie boli” – odpowiada on. „Nie dziwię się – ja na to – taki kawał chłopa w za małym samochodzie. Przecież kierownica wcina się panu w brzuch, nic dziwnego, że boli”. Pan taksówkarz podciąga się wyżej, rozluźnia,

patrzy na mnie: „Już dawno myślę o zmianie samochodu. A dokąd to my jedziemy, bo z panią to i do Gdańska bym pojechał!”. No to ja, że mi miło, i on też, że mu miło. Rozstajemy się w dużo lepszym nastroju niż przed chwilą. Wystarczy na spory kawałek dnia. Wchodzę do supermarketu. Uśmiecham się do pana, który stoi przy wózkach i wpuszcza klientów do środka. „Dla takiej uroczej pani najpiękniejszy wózek”. „Od tak sympatycznego pana to sama przyjemność” – odpowiadam i ruszam tanecznym krokiem na zakupy.

Nie myślcie, że flirtuję tylko z panami. Flirtuję też z dziećmi. Są w tym genialne. Przeważnie zaczyna się zabawa, chowanie się i pokazywanie, puszczanie oczek, wywalanie języka, robienie minek i wdzięcznych gestów. Czasem dołącza się rodzic i można się jeszcze pozachwycać, że nic dziwnego, musi być udana latorośl, skoro ma takich fajnych rodziców. Mam nadzieję, że nie pytacie, po co

to. Flirtujecie na randkach, spotkaniach, imprezach, najczęściej z płcią przeciwną. Najbardziej w celu podrywu. Ale całego świata nie przelecisz, choć niektórzy twierdzą, że warto przynajmniej próbować. Tu flirtu, moim zdaniem, nie ma. Jest uwodzenie.

Chciałam nawet posunąć się tak daleko, żeby napisać: „O wyższości flirtu nad miłością, a właściwie – o wyższości realnego flirtu nad iluzją miłości". Rozumiecie, o co chodzi? We flircie mało wydajemy – dużo dostajemy: Spełnioną pogodę ducha bez oczekiwań. W miłości dużo inwestujemy bez żadnej gwarancji, że się koszty zwrócą. Nie optuję za rezygnacją z „głębokiej" miłości na rzecz uprawiania wyłącznie „powierzchownego" flirtu. Chcę tylko pokazać, z pozycji dorosłego, na co mamy wpływ. Miłość – się staje, flirt – my kreujemy. Miłość prawdziwa nie jest częsta, flirt może nas do niej przygotować. Jeśli umiemy siebie i innych wprowadzać w dobry

nastrój, jeśli cenimy życzliwość i serdeczność dzielone między wielu, jeśli nie stawiamy tamy przepływowi ciepła, rośnie i nasz dobrostan, w którym odczuwamy coraz mniejszy głód emocjonalny. Pamiętam siebie młodą, głodną emocjonalnie. Jeśli znajomy fajny facet witał mnie zawsze: „Cześć, śliczna”, czekałam na to, kiedy się w końcu ze mną umówi, a najlepiej od razu we mnie zakocha. Przecież mu się podobam. Teraz wiem, rozumiem i popieram, że on się mną zachwycał tak jak i sporą liczbą również cudnych dziewcząt. Że miał frajdę, rzucając każdej: „Cześć, śliczna”. Ale wtedy ja, tak jak ciągle wiele dziewczyn, byłam uzależniona od oceny zewnętrznej i moja wartość zależała od tego, czy ktoś mnie zechce. Smutne, no nie? Żal mi tamtej siebie i dzisiejszych młodych. Kiedy już zmądrzałam i pokochałam siebie, napisałam: „O lepszości bycia ładną niż piękną”. To już była prawdziwa samoakceptacja. Jeśli żałujemy ciepła sobie,

to i innym go nie dajemy. Życzę Wam i sobie nadal, w te ciepłe, piękne dni: Flirtujmy z całym światem, dopóki mamy siebie i świat.

Zaplanować los?

•

Nikt nie dostaje gwarancji, że uda mu się dobry związek do końca życia.

20-LATEK ZUPEŁNIE SERIO OPOWIEDZIAŁ MI, JAK BĘDZIE WYGLĄDAŁO JEGO ŻYCIE: „24 lata – kończę studia, 24 do 26 – ustawiam się w pracy, 27 – kupuję samochód, 28 – mieszkanie, 29 – żenię się, 30 – dziecko”. „A 75?” – zapytałam złośliwie. Nie zrozumiał. Więc kontynuowałam: „A jak zakochasz się wcześniej albo ze znalezieniem pracy coś pójdzie w innym tempie?”. „A niby dlaczego?” – spytał serio. Dałam spokój. Ewentualnej wybrance współczuję. Jego dziecku – jeszcze bardziej, choć to już nie ja będę je

terapeutyzować. Może rodzice dumni, że taką poukładaną progeniturę udało im się wyhodować? Może to jaskółka coraz bardziej cyborgowej populacji? A najsmutniejsze będzie, gdy mu tak właśnie wszystko wyjdzie.

Znajomy kiepsko pracującemu podwładnemu zapowiedział, że daje mu trzy miesiące na poprawienie wyników, a tamten na to: „Umówmy się na 30 sierpnia!”. „A dlaczego akurat tak?” – zdziwił się szef. „Bo ja wtedy kończę 35 lat” – jak najpoważniej odpowiedział dorosły mężczyzna, który najwyraźniej zatrzymał się w rozwoju wewnętrznym około wieku parolatka. Jedni próbują zatrzymać czas, inni pokroić go na równe kawałki, inni rozciągnąć lub zastąpić stereotypem.

Najbardziej mnie poruszają (bo z nimi mam najczęściej do czynienia) kobiety (w wieku od 20 do 60 lat), które jako swój problem podają „nieułożone życie”. Oczywiście, wiem, o co chodzi, ale pytam: „Pracuje pani?” „Tak”.

„Nieźle pani zarabia?” „Tak”. „Ma pani mieszkanie?” „Tak”. „Przyjechała pani swoim samochodem?” „Tak”. „Lubi pani jeździć?” „Tak”. „Ma pani znajomych?” „Tak”. „Lubi ich pani?” „Tak”. „Ma pani przyjaciółkę lub przyjaciółki?” „Oczywiście”. „A wakacje?” „Właśnie wróciłam z Grecji”. „Fajnie było?” „O tak”. „Była pani sama?” „Nie, ze znajomymi, ale sama też już raz wyjechałam, poznałam miłych ludzi”. „Umie pani poznawać nowych ludzi, zakolegować się z nimi?” „Tak”. „W pracy pani jest lubiana?” „Nawet bardzo”. „Jest pani bardzo ładnie ubrana, zadbana, sprawia pani przyjemność dbanie o siebie?” „Oczywiście”. „Ma pani świetnie ułożone życie”. „No niby tak” – odpowiada pani. „Ale się pani nim nie cieszy”. „No, tylko czasami, pewnie za rzadko. Bo nie ma w nim stałego związku”. „Stałego. Niestałe się nie liczą. Byłe się nie liczą. I ma być – na zawsze. A jak to się nie uda?” – pytam. „To ja sobie tego nie wyobrażam”. „Rozumiem, że nie ma pani

chęci wyobrażać sobie, że się pani pragnienie może nie spełnić, ale przecież sporo ludzi żyje w pojedynkę. Niektórzy, bo tak wolą, inni dlatego, że się nie złożyło. Nikt nie obiecywał ani nikt nie dostaje gwarancji, że uda mu się długoletni, do końca życia i do tego dobry związek. Chyba że pani godzi się na niedobry?" „O nie!" „Chciałaby pani tego młodzieńca, co tak sobie wszystko zaplanował?" „Nie. Przecież on musi być okropnie nudny!" „A tego, co to się poprawi na 35 urodziny?" „Eeee, to dzieciak..." „A niższego od siebie?" „Mowy nie ma". „A takiego, co go trzeba utrzymywać?" „W żadnym wypadku! Ale co mi pani chce powiedzieć, że ja nigdy nikogo nie spotkam?!" „Nie, przecież ja ani nikt inny nie wiemy, czy pani kogoś spotka i czy on będzie pasował pani, a pani jemu, i na jak długo to wystarczy". „Ale ja przyszłam, żeby mi pani pomogła kogoś znaleźć". „Ale terapeuci nie dostarczają narzeczonych. Kiedyś była

swatka, a teraz są fora internetowe. To prawda, że wiele moich klientek spotkało miłość”. „No właśnie, ja też chcę! Jak one to zrobiły?” „Najpierw pokochały siebie i swoje życie. Takie, jakie mają. Ale niektóre nadal są singielkami”. „I co? Lubią siebie i swoje świetne życie?” Nie chodzi przecież o to, żeby nie planować lub nie mieć marzeń, ale o to, żeby pozwolić życiu się dziać. Jest tylko to, co jest, i albo możemy próbować to przerabiać, albo się tym cieszyć. Dobrego lata!

Cud czytania

•

Nie ma na świecie lepszych psychologów niż świetni pisarze.

FRANÇOIS MAURIAC, WIZYTUJĄC ŻEŃSKĄ SZKOŁĘ, ZOSTAŁ ZAPYTANY PRZEZ JEDNĄ Z UCZENNIC O NAJKRÓTSZY PRZEPIS NA DOBRĄ KSIĄŻKĘ. Odpowiedział: „Trochę religii, trochę seksu, trochę życia z wyższych sfer, a wszystko podlane smakiem tajemnicy…”. Po chwili uczennica przekazała pisarzowi swoją gotową powieść: „Mój Boże, rzekła hrabina, zaszłam w ciążę i nawet nie wiem z kim!”. W czwartej klasie mój tata przeniósł mnie do jednej z najlepszych łódzkich szkół, do „trójki”. Znalazłam się w raju. Odżyłam. Szkoła piękna: marmurowe schody, piękne rzeźby, wielka

aula z wysokimi oknami, obok park świetny na wagary. Trafił mi się wtedy, niestety, tylko na jeden rok, najcudowniejszy wychowawca – pan Jagoda, malarz i plastyk, który zabłądził na chwilę do zwyczajności. Szkoła i moja klasa pełne były inteligentnych dzieciaków. Ja miałam wejście smoka. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy byłam najlepszą uczennicą. Moim chłopakiem został najdowcipniejszy i najbardziej oczytany chłopak w klasie. Czytanie… Czytaliśmy wszyscy. Ci, którzy się chcieli liczyć. Kiedy się kogoś poznawało, pierwszym pytaniem było: „Co czytasz?”. U mnie w domu było sporo książek i byłam już nieźle oczytana w literaturze anglosaskiej. Ale u rodziców mojego chłopaka była cała biblioteka i tam odkryłam Francuzów. Przede wszystkim Mauriaca. Napiszcie, proszę, kochani, czy ktoś dziś jeszcze czyta Mauriaca? *Teresa Desqueyroux*, *Genitrix*, *Kłębowisko żmij*, *Pustynia miłości*, *Faryzeuszka*… Książki mroczne, głęboko psychologiczne karmiły mój

głód i moje przypuszczenie, że ludzie to istoty niezwykle skomplikowane, cierpiące i ułomne. Uczyłam się życia na potęgę – czytając. Albert Camus, André Gide z *Fałszerzami* i *Lochami Watykanu*, Alain Robbe-Grillet z *Gumami*, Roger Martin du Gard z *Rodziną Thibault*, André Malraux z *Drogą do wolności*, Marcel Proust, Honoriusz Balzak, Jean-Paul Sartre, Georges Bernanos, Boris Vian, Colette, Romain Gary, Marguerite Duras, Nathalie Sarraute, Georges Duhamel, Maurice Druon, Henri Barbusse, Françoise Sagan, Simone de Beauvoir, André Maurois. Nie czytałam tylko, by się ukryć, ale żeby mieć narzędzia i umiejętności w relacjach i odczytywaniu siebie, takiej niewiadomej, i tych tajemniczych innych wokół... Nie ma lepszych psychologów niż świetni pisarze. Amerykanie uczyli odwagi, prostoty, otwartości, Anglicy – poczucia dystansu i finezji, Czesi – rozsądku i pogody ducha z przyzwoleniem na cudną zwykłość – niezwykłą.

Rosjanie pokazywali duszę pooraną męką i ukochanie tej męki. Potem wybuchła proza iberoamerykańska, pamiętacie? Boże, co to był za szał! Wszyscy we wspólnocie czytających, pożyczających sobie, kupujących i kradnących te książki. Cortázar, Fuentes, Márquez, Vargas Llosa… Namiętni, kolorowi, napoili nas magią i gorącym oddechem. Książki stoją u mnie według nacji właśnie: Francuzi, Niemcy, Austriacy itd. Osobno poezja i osobno WSZYSTKIE KOBIETY. Gorzej, gdy ktoś jest np. belgijskim Francuzem…

Ale Belgów mam mało i stawiam ich przy Francuzach. Kiedyś czytałam, by żyć. Wydawało mi się też, że żyję po to, by czytać. Że nie ma nic ważniejszego, istotniejszego niż spotykanie się z wytworami ducha i umysłu ludzkiego w tej najszlachetniejszej formie. Dziś im bardziej żyję, tym mniej czytam, ale to (również) dzięki temu Wielkiemu Czytaniu niegdyś umiem teraz żyć.

Pożegnanie z Olgą

•

Dlaczego nie umierają tylko ci, których nie lubimy?!

CZĘŚCIĄ NASZEGO ŻYCIA JEST NASZA ŚMIERĆ I NASZE UMIERANIE. I częścią naszego życia jest umieranie i śmierć ważnych dla nas ludzi. Olga Doraczyńska jest ważna dla całego Kazimierza nad Wisłą, sporej części Warszawy i wielu ludzi z całego świata. Jeśli się Ją kiedyś spotkało, już się Jej nie zapominało. Architektka, żona architekta Waldka, matka ślicznej Natalii – też architektki. Kobieta o niezwykłej, oryginalnej urodzie, o wielkich oczach smoczycy ze *Shreka*, zawsze zgrabna, szybka, ruchliwa. Człowiek z taką energią, że kiedy dowiedzieliśmy się, że jest w szpitalu

z podejrzeniem raka, mieliśmy prawie pewność, że ONA sobie z tym poradzi. Tak jak radziła sobie zawsze z mnóstwem zajęć i pomysłów. Współpracą z Waldkiem, dzięki której Kazimierz wzbogaca się o najpiękniejsze domy, zajmowaniem się czterema psami i trzema kotami, bujnym życiem towarzyskim i społecznym. Miała rzadką i niezwykle cenną dla wszystkich umiejętność – potrafiła kojarzyć ze sobą różnych ludzi w różnych sprawach; dla zabawy i tworzenia. A to jasełka, a to teatr, a to bal na rzecz jakiegoś istotnego kawałeczka Kazimierza. Olga na balach to osobny temat. Tańczyła zabójczo. Najbardziej zostanie mi w pamięci w czarnej obcisłej bluzeczce, kloszowej spódnicy w czerwono-czarną kratę, czarnych rajstopach i pantofelkach, wywijająca rock and rolla, jakby wciąż była na studiach. A razem z Waldkiem tańczyli bosko. W końcu przetańczyli ze sobą kawał życia. Stanowili

pokazową parę, On wysoki, przystojny, z bujną czupryną, Ona nieduża, urokliwa. Olga w czerwonej sukni z powiewającymi godetami, Waldek w smokingu, płynący oboje w walcu czy w tangu... Bywają ludzie jak z kina. Tak jak Olga na ich najpiękniejszym balkonie na Rynku, obłożona pieskami, głaszcząca je z miłością. Waldek robi pyszną kawę, wspaniale gotuje, przewijają się przemili ludzie z Kazimierza i całego świata... Ta para i ten dom w takim miejscu to rodzaj konsulatu kulturalnego. O cholera! Jej już nie ma! Można tylko płakać. Dlaczego nie umierają tylko ci, których nie lubimy?! Może być, żeby Olgi ktoś nie lubił? Może jakieś zazdrośnice lub odrzuceni adoratorzy? Bo jestem przekonana, że spędzała sen z oczu niejednemu. Znałam Olgę od dawna i zawsze byłam Nią i Nimi zachwycona. Projektowali nasz dom. Kolegowali się ze wszystkimi (chyba?), którym projektowali. Pomocni, cierpliwi, użyczający wszelkiej wiedzy,

adresów, kontaktów i pomysłów daleko wykraczających poza zadania projektantów. I Olgi frajdą było stwarzanie okazji, by wszystkich poznać ze sobą i sprawić, by czuli się coraz bliżej. Sama wnosiła tyle i wiedziała, jak inni ludzie mogą siebie wzajemnie i całe środowisko wzbogacać. Jestem Jej za to ogromnie wdzięczna i nie ja jedna. Uwielbiałam spędzać z Nią, Nimi czas. Był gęsty od ciekawych opowieści, rozmów, żartów, wychodziłam z tych spotkań jak z cudownej kąpieli i dla ciała, i dla umysłu… Ucieszyło mnie, że zainspirowała reżyserkę kazimierskiego teatru amatorskiego Ewę Wolny do zaadaptowania jednej z moich książek i przygotowania występu, w którym, niestety, sama już wziąć udziału nie mogła, a wiem, że miała ochotę. Towarzyszyła koleżankom ze szpitala. Czekaliśmy z tęsknotą, kiedy wróci. Minęło pół roku. Bolesnych dla Olgi i Jej rodziny.

Waldek i Natalka zajmowali się Nią w chorobie z takim oddaniem i miłością, jakie rzadko dane jest spotkać. Robili to po prostu, tacy są, taka była i jest ich bliskość wzajemna, ich porozumienie, lojalność. Waldku, Natalio, przed Wami trudny, bolesny czas. Nikt nie może sobie wyobrazić, co tracą ludzie tak ze sobą zżyci. Pozwólcie sobie choć trochę towarzyszyć w Waszej żałobie w miarę naszych możliwości. Jutro pogrzeb (piszę to 24 lipca). Zostaje dziura, lej po bombie. Puste miejsce, nie do zapełnienia. W moim sercu i wielu sercach zostajesz na zawsze, Olgo…

O panach i paniach

•

A ja się zastanawiam, po co mi ten trzeci mąż, kiedy pierwszy był lepszy.

KOMU BARDZIEJ ZALEŻY NA ZWIĄZKACH? Kobietom? Ale przecież coraz więcej singielek z wyboru, a i o rozwody wnoszą częściej kobiety… Mężczyznom? Ale przecież coraz bardziej uciekają od odpowiedzialności i zobowiązań… Obyczaje zmieniają się prędzej, niż nasza świadomość jest w stanie to ogarnąć, jednak ten temat wciąż będzie żywy.

Parę dam na spotkaniu towarzyskim opowiada sobie o swoich doświadczeniach damsko-męskich. Urszula: „Byłam po

maturze. Miałam swojego ukochanego Wojtusia, strasznie poważnie traktowałam tę miłość. On mieszkał gdzie indziej, to był kłopot, ale ja dzielnie do niego jeździłam. Aż raz zapukałam do drzwi, otworzyła jego matka: «A pani do kogo?!» «Ja do Wojtusia!» «Ale nasz Wojtuś już obżeniony jest!»". Damy westchnęły gorzko ze zrozumieniem. A Urszula dodała jeszcze: „I wyobraźcie sobie, taka byłam głupia, że jeszcze im wózek kupiłam w prezencie!". „No tu już przesadziłaś!" „Wiem, ale wtedy to mi się wydawało takie szlachetne". Dorota: „A ja ciągle się zastanawiam, po co mi ten trzeci mąż, kiedy ten pierwszy był i tak najlepszy". Zyta: „A mój drugi jest lepszy i już z nim chyba zostanę". „Dobrze masz, zazdroszczę ci…" Aneta z ożywieniem: „Słuchajcie, to jest dobre! Miałam kochanka. Przystojniak, świetny tancerz, chyba tylko dlatego z nim byłam. Zorientowałam się, że za hotel zawsze ja płacę, bo on WŁAŚNIE nie ma pieniędzy.

Kochankiem był znacznie słabszym niż tancerzem, więc go rzuciłam. Nie opłacało się płacić. Po pół roku zadzwonił i rozrzewniony oświadczył, że zrozumiał, że tylko mnie kochał, żebym wróciła, że teraz da mi wszystko. Odpowiedziałam, że zupełnie nie mam ochoty. Zapytał: «A masz może jakąś koleżankę?»". Panie zaśmiały się: „Rzeczywiście, ładne". Amatorski teatr w Kazimierzu nad Wisłą zaadaptował parę rozdziałów książki *Chcę być kochana tak, jak chcę*. Parę wspaniałych dziewczyn rozprawiało przed mieszaną płciowo publicznością o meandrach relacji miłosnych. Część z Was, Drogie Czytelniczki, mam nadzieję, pamięta, że jest tam (czyli w książce) zapożyczony od Agnieszki Osieckiej podział panów na Wiecznych Chłopców, Dostojników i Panów Cześków, który wydaje mi się niezwykle celny. Taki też się wydał występującym adaptatorkom. Przedstawienia słuchało liczne grono

znajomych par. Po jego zakończeniu staliśmy, rozmawiając o nim, w ogrodzie Dwóch Księżyców, gdzie rzecz się odbyła. Z zachwytem usłyszałam, że panowie byli zadowoleni i zaciekawieni. „Właśnie się zastanawiamy, do których typów męskich nas zaliczycie?” – zapytali swoje partnerki i ich koleżanki. „Jak to? Nie wyczuwacie? Przecież wy wszyscy jesteście Wiecznymi Chłopcami! Udomowionymi, niektórzy solidnie obdziecionymi, niektórzy siwymi, ale chłopcami. Kochamy was takich, w waszych panterkach, z gitarami, w waszych samochodach terenowych, kapeluszach kowbojskich, czapkach z daszkiem i koszulach flanelowych. I z waszą fantazją”. W spektaklu było też o wewnętrznym dziecku.

Następnego dnia opowiedzieli mi znajomi, którzy wyszli wcześniej, nie zostając z nami na pogaduszkach, że szli przed parą przyjaciółek i jedna z nich żaliła się: „Wiesz, tyle razy już próbowałam mu coś wytłumaczyć

z tym Wewnętrznym Dzieckiem, ale on nic nie rozumie”. I jeszcze rozmowa, którą słyszałam, a i pewnie Wam jest nieobca.

Ona: „Czy ty mnie w ogóle kochasz?!”.

On: „No pewnie”.

Ona: „To czemu mi nie mówisz?!”.

On: „Przecież ci już dawno powiedziałem, a czy ja się z tobą rozwodzę? Nie, prawda? To o co ci chodzi?”.

Wiele serdeczności dla wszystkich płci.

Tutaj i tam

•

Żyjemy w dwóch światach, wciąż się pakujemy i przenosimy z jednego do drugiego.

BUDZĘ SIĘ I OD RAZU POJAWIA SIĘ PYTANIE: NA KTÓRĄ STRONĘ DZIŚ WSTAJĘ? To jest początek różnicy dwóch światów, w których żyję. Potem pojawiają się dywagacje, na którym z łóżek mniej boli mnie kręgosłup. Oba łóżka lubię, są wygodne, ale jeśli po 45. roku życia wstajesz i nic cię nie boli, to znaczy, że nie żyjesz.

Tutaj jest cicho. To jest cudowne i wciąż zaskakujące, kiedy dojeżdżamy, stajemy, nie chce mi się przez chwilę wysiadać. Otwieram drzwi samochodu i wpuszczam do niego pierwsze hausty ciszy... I natychmiast zaczynam inaczej oddychać. Właściwie chłonę

zapachy. Ich bogactwo po chwili staje się naturalne, ale pierwszy efekt jest oszałamiający. A hałasy tutaj to ranne wydzieranie się ptaków i częste triumfalne pienia koguta, który dumnie przechadza się, prowadząc za sobą stado swoich dam. W mieście wciąż coś hałasuje, nawet w nocy, i „od podwórka” słychać daleki szum, kroki na schodach, nie mówiąc o długowieczornych spędach młodych ludzi pod oknami. Czasem, żeby zasnąć, potrzebne są stopery, gdyż chłopaki gadają głośno i niewybrednie. Ale ja właściwie wszędzie zasypiam dobrze. Lubię dowcip o angielskim lordzie, który opowiada spotkanemu znajomemu: „Wiesz, miałem ciekawy sen. Śniło mi się, że przemawiam w Izbie Lordów. Obudziłem się i... rzeczywiście”. Tutaj chodzimy we wtorek i piątek na targ, do pana Stanisława po kwiaty, do pana Tadeusza po truskawki, które są ciągle słodkie i suche. Czy on każdą wyciera? (Tu mi się przypomina stary PRL-

owski dowcip o aferze fryzjerskiej: Golili agrest i sprzedawali jako winogrona). Po targu idzie się na kawę i spotyka mnóstwo znajomych. W obie strony wciąż się wyładowujemy, pakujemy, przenosimy. Okropnie to upierdliwe, może się poprawi, kiedy nasz dom, który się buduje, będzie skończony i urządzony. Na razie mieszkamy w wynajętym domku obok naszej działki. Do Warszawy wozimy pranie, pomidory malinowe, jajka od wiejskich kur, chleb i pierożki od pani Basi Sarzyńskiej, pasztet od pana Marka. Z powrotem jakieś pościele, ręczniki, garnki, fotele, szafeczki. I w obie strony kwiaty; na balkon, na ganek, do wazonów. Tutaj jest fajnie, zawsze coś kwitnie, zioła, kwiaty, trawy, chwasty, a ja obstawiam całą chałupę i dopiero wtedy mi dobrze... Ale na Bielanach, kiedy się tam wprowadziłam i poszłam – już trzeci raz! – do sklepiku przy tylnej uliczce, i nie miałam przy sobie pieniędzy, pani sprzedawczyni

powiedziała z uśmiechem: „A cóż to za problem, zapłaci pani później, przecież pani jest nasza”. Och, jakież to było miłe. A jak lubię, gdy siedzimy z przyjaciółkami w knajpie Da Aldo na placu Inwalidów i pan Jędrek przynosi mi serwetkę złożoną w łabądka, i pyta: „A kto jest pani ulubionym kelnerem?”. Ludzie bywają przemili i tu, i tu, ale tam, na wsi, mają jakoś więcej czasu i ochoty na kontakty... Staje się na drodze i rozmawia z panią Lonią o wnuku, z sołtysem o pogodzie, wpada się do sąsiada Krzysia zobaczyć, jak idą u niego prace remontowe i gdzie kupił te piękne drzwi, bo też chcemy takie. Darkowie „pożyczają” nam pana Mateusza, żeby skosił chwasty. A pani Ela gotuje pierogi z owocami. Do knajpki obok wąwozu korzeniowego u Małolepszych prowadzimy znajomych z Warszawy na prawdziwą zalewajkę, a jako prezent dostajemy do spróbowania nowy gulasz z cieciorką. Puławy, gdzie można dostać

i załatwić wszystko, są niskie, kolorowe i bardzo czyste. W całej okolicy zrobione są nowe drogi asfaltowe i nowe chodniki. Ogromnie nam się tu podoba. Właśnie oglądam na oknie spektakl, jak pająk poluje na muchę (piszę w końcu września), a na dębach przed domem mieszka zielony dzięcioł z czerwoną główką i – żeby nie było tylko fajnie – stado szerszeni, no i w Warszawie są kina i teatry. A o pracy specjalnie nic nie napisałam.

Żadnych obowiązków

•

Nie ma nic bardziej perfidnego niż pracoholizm i perfekcjonizm.

„CHYBA NAJMILEJ WSPOMINAM TAKI CZAS – OPOWIADA JAGODA – GDY KTÓREGOŚ LATA PRZYJECHAŁA DO MNIE NA DŁUŻEJ MOJA SIOSTRA. Cud zaczynał się od świtu. Wstawałyśmy wcześnie i siadałyśmy z kawą na tarasie z widokiem na Wisłę okutane w koce. Było mokro i chłodno. Słodko pachniało świeżością. Nad rzeką unosiły się mgły. Leżałyśmy na leżakach, nic nie mówiąc. Robiło się coraz cieplej. I kiedy już odrzuciłyśmy koce, zaczynałyśmy rozmawiać o tym, co dzisiaj chcemy robić. I żadnych obowiązków. To było najprawdziwsze szczęście…” – Jagoda,

opowiadając to, promienieje. Poleciałam parę lat temu na Sri Lankę. Z Lidką. Podróż była długa i uciążliwa. Po dobiciu na miejsce od razu walnęłyśmy się do łóżek. Przespałyśmy cały pierwszy dzień i nic nie wskazywało na to, że mamy ochotę wstawać. Późnym wieczorem zaczęło mnie męczyć coś na kształt poczucia winy pomieszanego z poczuciem obowiązku i odezwałam się: „Lidziu, a może powinnyśmy choć na chwilę wyjść na plażę, przywitać się z oceanem, w końcu dla tej wody tu przyleciałyśmy głównie”. Na co Lidka, najspokojniej, przewracając się na drugi bok: „A co ty myślisz, że jutro tam tej plaży już nie będzie?”. Uff, kompletnie uspokojona i rozbawiona geniuszem L. kolejny raz pogratulowałam sobie towarzyszki wakacji. Żadnych obowiązków. To nam się naprawdę zawsze udaje. Zbyszek wspomina, jak bosko się złaził w górach z kumplem. Docierali do jakiegoś punktu widokowego, stali,

patrzyli, czasem mruknęli do siebie: „O jak tu, k…, pięknie” i szli dalej. „Ale wypocząłem, na długo starczyło – mówi. – Będziemy powtarzać”. Człowiek ma wobec siebie obowiązek – co jakiś czas dostarczyć sobie czas bez obowiązków. Dla higieny psychicznej i fizycznej. A w naszym wewnętrznym wyposażeniu, które większości z nas zostało po wychowaniu rodzicielskim, słychać nakazy: „Nie gap się tak bezmyślnie!”, „Nie leń się, robota się sama nie zrobi!” itd. Ten przykry, popędzający głos Wewnętrznego Rodzica smaga nas jak batem, używając w wielkiej ilości wyrażeń typu: Musisz, powinnaś, nie wolno ci, tak trzeba! Większość z nas lubi swoje obowiązki, docenia ich wartość dla dobrostanu życia, ich motywacyjną moc. Wiemy też, że samo nicnierobienie jest nudne na dłuższą metę, że nasze działania nas określają, kształtują, czynią potrzebnymi. Ale nie ma nic bardziej perfidnego niż pracoholizm i perfekcjonizm. Pozornie

prospołeczne, prozadaniowe, te nałogi są po prostu nieludzkie. Odrywają człowieka od otoczenia, najbliższych, przyrody, przeżywania życia. A najbardziej od siebie samego. Są strasznym przykładem, dawanym jakże często za wzór. I istnieje zarówno pracoholizm biznesmena, jak i gospodyni domowej. A tymczasem jak snu i słońca potrzebujemy niekiedy, żeby nam coś ugotowali albo żebyśmy sobie coś sami upichcili w menażce na ogniu. Potrzebujemy płodozmianu. Spływ kajakowy funduje zajęcia, które są tak inne niż nasze codzienne, że aż są samą frajdą. Nie czekajmy na urlop. Fundujmy sobie siedzenie na ławce w słońcu i spacer w deszczu, brodzenie w liściach, zbieranie kasztanów, zagapianie się na chmury. Róbmy sobie długą kąpiel, naprzemienny prysznic, siedźmy z fajnymi ludźmi przy dobrym jedzonku…

Nabądźmy mądrości bacy. Zapytany przez dziennikarza:

„Baco, a co wy tak najczęściej robicie?” – odpowiedział: „Ano, siedzę i myślę”. „A jak nie macie czasu?” – drążył dziennikarz. „A, wtedy ino siedzę”.

Trochę o miłości

•

Uśmiechnęli się. Specjalnie wynajęli pokój z dużym małżeńskim łożem.

MIELI JUŻ ZAPEWNIONY NOCLEG W TYM SAMYM HOTELIKU CO WTEDY. Chodzili niespiesznie po Kazimierzu, bo tu kiedyś zakwitła ich miłość. To miała być podróż romantyczna. Gośka i Łukasz, piękna małżeńska para, chcieli godnie i słodko uczcić swoją 24. rocznicę ślubu. Bez dzieci tym razem. Zupełnie. I na razie było bardzo romantycznie. Wąwozy, uliczki, knajpki. Te same trasy, prawie te same widoki, choć Kazimierz przecież się zmienił, nadal jest tu przepięknie. I menu *U Fryzjera* ciągle to samo… Chodzili, pokazując sobie

i przypominając: „O, a tu się wtedy potknęłam i ty mnie tak wspaniale podtrzymałeś, i potem się zaczęliśmy pierwszy raz całować…”. „Bo ty się o mnie tak ufnie oparłaś i poczułem twoje ciało tak blisko, i dotarło do mnie, jak mi się cholernie podobasz…” Wiecie… takie rzeczy… Fajne, nie? Potem sobie jedli, potem znów chodzili objęci i się całowali, a potem bardzo już zachciało im się wykorzystać to, że mają pokój.

Wtedy tak łatwo nie było, co? Uśmiechnęli się. Specjalnie wynajęli pokój z dużym małżeńskim łożem. I normalny teraz luksus posiadania łazienki też ich cieszył. W ogóle było cudownie. Zanurzyli się w pościeli i zaczęli zanurzać w sobie.

Nagle odezwał się sygnał SMS-a w Gośki komórce, którą położyła przy łóżku. „O Boże – pomyślała – coś niedobrego z mamą, miała ostatnio krwotoki”. Sięgnęła po komórkę. „Co ty robisz?!” – usłyszała. Łukasz był wściekły. „Bo mama… i krwotoki… i ja się boję o nią…

i myślałam, że się coś stało…” „Teraz myślałaś?!” – grzmiał Łukasz. „Co ja tutaj robię?! I z kim? A jakby twoja matka umierała, też by cię nic nie obchodziło?!” – wrzasnęła Gośka, która nigdy nie zostaje dłużna. „A co ma do tego moja matka?” I tak dalej, i tak dalej, wiecie… Wszyscy to znamy i potrafimy… A ponieważ nastrój diabli wzięli, jemu zwiądł jak lilia (ciekawam, kto z Was pamięta, z czego to jest cytat?). Łukasz wyskoczył z ciepłego łóżka, ubrał się błyskawicznie, złapał swój plecak: „Mam cię dość, wracam wcześniej”. (Gośka miała zostać w Kazimierzu na zajęcia grupy terapeutycznej). I już go nie było. Gośka pochlipała trochę, potem się chwilkę przespała i też wyszła. „Nie będę marnować pobytu w Kazimierzu pomimo wszystko” – pomyślała. Łaziła sobie, pół smutna, pół zła, kiedy zatrzymał się przy niej ich samochód z Łukaszem w środku. „Zapłaciłaś za hotel?” „Tak, ale zostawiłam tam mój aparat

fotograficzny, a chciałabym porobić zdjęcia. Przywieziesz mi?” Przywiózł. Stali na powietrzu i rozmawiali. Trochę się przepraszali i znów się kłócili, wiecie, znacie… Ustalili, że on jednak pojedzie, bo nie ma sensu tak spędzać czasu, ochłoną sobie bez siebie, tak będzie lepiej, oboje rozumieją, że nie zawsze wszystko wychodzi tak, jak się zaplanowało, w końcu oboje są na terapii i już wiedzą, że scenariusze raczej się dokładnie nie sprawdzają, odpoczną od siebie i od tego napięcia… Pojechał. Gosia znów ruszyła w samotną wędrówkę, trochę pogodzona ze swoją pojedynczością, trochę nią rozczarowana… Chodziła tak sobie z godzinę, kiedy znów pojawił się jej rycerz. Tym razem ciepło i czule powiedział, przytulając ją: „Wróciłem z drogi. Stęskniłem się, chcę być tutaj, z tobą. Chodź do najbliższego domu, gdzie wynajmują pokoje”. Poszli. Tym razem Gośka wyłączyła komórkę.

Aha, a wtedy ten SMS rzeczywiście był od jej mamy. Życzyła im wspaniałego pobytu w Kazimierzu i udanej rocznicy.

Potrzebna

•

Zajmując się ciągle innymi,
zostawiłam siebie samą.

W DOMU, W SZKOLE I JUŻ NA ZAWSZE ZOSTAŁA MISIĄ. BYŁA OKRĄGLUTKA, PRZYTULNA, MIŁA. Jakby naturalnie i bez wysiłku przychodziło jej bycie współczującą, ciepłą, zajętą cudzymi sprawami. Wszyscy czuli się przy niej dobrze, bezpiecznie. To ona spowodowała, że powstała grupa psychoterapeutyczna na uczelni. Była jej niekwestionowaną liderką. Wydawałoby się, że stworzyła ją dla swoich koleżanek i przyjaciółek, a nie dla siebie.

Przez pierwszy okres zajmowała się obecnością, organizacją miejsca na spotkania, wspólne zjedzenie obiadu w przerwie, herbatą, jabłkami itd. Była skoncentrowana

na organizacji oraz motywowaniu swoich podopiecznych do pracy psychologicznej. Znała wewnętrzne dylematy dziewczyn, bo wszystkie jej się zwierzały. Ona zwierzała się Doni i Asi. Na tle grupy mówiła o sobie krótko i po wierzchu. Po jakimś czasie Misia przestała być uśmiechnięta. Któraś z nas się spóźniła, któraś nawaliła, co zdarzało się i przedtem, ale teraz Misia już nie miała na to tolerancji. „To ja dla was tyle załatwiam, a wy tak…” – krzyknęła, czym spowodowała nareszcie zwrot uwagi grupy w jej stronę. Dziewczyny powiedziały, że są jej wdzięczne za wiele działań, ale że są dorosłe i same zdecydowały o podjęciu procesu terapeutycznego i że czekają, aż ona także zacznie pracować nad sobą, bo i jej to jest potrzebne. Wtedy Misia płakała pierwszy raz. Trochę ze złości na nie, trochę ze wzruszenia, dużo z bezradności: „Ale ja nie wiem, co się ze mną dzieje”. Nadszedł długi czas popłakiwania. Misia miała oczy na mokrym

miejscu przy każdej głębokiej cudzej pracy, ale nie była jeszcze gotowa przesunąć uwagi na siebie. Najpierw poprosiła koleżanki, żeby odciążyły ją od obowiązków, bo ona nie ma już siły. Dziewczyny zrobiły to z radością: „Nareszcie my też będziemy mogły być potrzebne, nareszcie wypuszczasz coś z ręki, co tak mocno trzymałaś". Misia zdziwiła się: „Ja to trzymałam?". „No tak, robiłaś mnóstwo dla nas i za nas, co bywało wygodne, ale też nami rządziłaś jak swoimi dziećmi, a my chcemy być tym, kim jesteśmy – przyjaciółkami – i pomagać także tobie. Przecież ledwo żyjesz. Pytanie, czy to przyjmiesz". Najwyraźniej przyjęła, bo już na następnej sesji opowiedziała o zupełnie nowym, trudnym, oczywiście, doświadczeniu, które podjęła. „Byłam na spotkaniu, na którym w ogóle nie byłam POTRZEBNA. Przeżywałam świadomie dyskomfort: Za co mogą mnie tutaj lubić, zauważyć i cenić? Nic nie zrobiłam, nie przyniosłam, nie

zadzwoniłam. I nawet, jakby specjalnie, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Donia patrzyła w okno, Asia z kimś rozmawiała. Poczułam się sama, nieważna, niepotrzebna. A tak w głębi – niekochana. To bolało. Ale, słuchajcie, mogłam to wytrzymać, mogłam to świadomie przeżywać! Dotarło do mnie, że tego uczucia bałam się zawsze, że nie dawałam mu dojść do głosu, zakrywałam nadaktywnością.
I że zajmując się ciągle innymi, zostawiałam siebie samą. Jak się cieszę, że mogłam to znieść, wytrzymać. A ile jeszcze przede mną!" „Och, tak – wykrzyknęły przyjaciółki Misi – kiedy do ciebie, słodki głuptaku, dotrze, że my potrzebujemy ciebie całej, ze wszystkim, i że cię lubimy nie za twoje organizowanie. Wszystkie możemy na zmianę organizować. A twojego pilnowania nas nie lubimy. Sama się pilnuj. Kochamy cię za całokształt bycia naszą Misią. I kiedy jesteś smutna, i kiedy wesoła, i kiedy zła, i kiedy nijaka – też". „Naprawdę?!" – rozpłakała się

Misia. Zaczęło się przytulanie i ściskanie. Tak okazało się, że Misia grupę stworzyła również dla siebie. Pamiętajcie, nie ma nic złego w byciu potrzebną innym, ale najpierw potrzebni jesteśmy sobie.

Własny pokój

•

Chodziłam po mieście,
zaglądałam w okna i marzyłam:
„Byle 15 metrów…”.

JAKO DZIECKO NIE MIAŁAM SWOJEGO POKOJU. Bardzo mało dzieci go miało. Większość dorosłych, w tym moi rodzice, też nie. Pierwszy mój własny kąt miał wymiary 140 na 70 cm. Była to służbówka z osobnym (!) wejściem, w śródmieściu Warszawy, którą znalazłam po sześciu miesiącach spędzonych w Ursusie we wspólnym pokoju ze starszą panią, dokąd upchnęła mnie mama z lęku o moje złe prowadzenie się. Wreszcie miałam swoje własne miejsce, w które nikt nie ingerował, w dodatku w samym centrum

Warszawy. Zmieściło się tam wąskie żelazne łóżko, malutki stoliczek, krzesło i plastikowa szafa szerokości akurat 70 cm. Pomalowałam wszystko na zielono, byłam szczęśliwa i nareszcie zaczęłam się źle prowadzić, czyli spraszałam tam moje koleżanki ze studiów. Wszystkie marzyłyśmy o własnym mieszkaniu – zarówno te dziewczyny, które gnieździły się w akademiku, gdzie bywało rozkosznie, śmiesznie, ale też ciasno, niewygodnie, jak i te „miejscowe", które mieszkały jeszcze u rodziców. Zaczęłam się w mojej służbówce czuć jak w celi więziennej i dostawałam kręćka mieszkaniowego. Chodziłam po mieście, zaglądałam w okna i marzyłam: „Byle 15 metrów, ale własne". Wiem, że mnóstwo z Was przeżywało to samo. Był głęboki PRL, mieszkań jak na lekarstwo, szanse na swoje – żadne. To kobiety głównie mają potrzebę „gniazdowania". W każdym razie odczuwają ją dużo wcześniej od mężczyzn, którzy z kolei lubią się do jakiegoś gotowego wygodnego

gniazdka wprowadzić. Znacie, mam nadzieję, słynny *Własny pokój* Virginii Woolf. Krótki, dobitny damski tekst o tęsknocie i prawie do własnej przestrzeni, o ogromnej potrzebie samostanowienia i wolności. V.W. oznajmiła, że jeśli kobieta ma własny pokój i 500 funtów dochodu – da sobie radę z życiem. Ludy pustynne potrzebują zebrać się na środku wielkiego pomieszczenia wokół wspólnego ognia. My w naszym świecie, w którym męczy nas podróż w ciasno upchanym autobusie, w którym lubimy się skupić w samotności, powiesić sobie na ścianie ulubiony plakat czy obraz, hodować kota lub trzy, lub wcale, potrzebujemy osobnych pomieszczeń. Jaka to wartość wyjść z konfliktu, kłótni albo hałasu czy zmęczenia we własny próg, za którym można popłakać, polenić się, podłubać w nosie, nie być na wynos, nie starać się, puścić napięcia. Jakie to potrzebne i zdrowe. Nareszcie mieszkań można mieć, ile się chce, ale, niestety, tylko tyle, ile się

może… Teraz marzymy o kredycie. Ogólnie jest lepiej; rzuca się w oczy, jak dużo dzieci ma własny pokój. Gratuluję i zazdroszczę im, życzliwie. (Sama mam w końcu swoje mieszkanie, a w nim biały pokoik, którym cieszę się jak mała dziewczynka). Rodzice często mają osobną sypialnię. Bywa, że tatusiowie mają swój gabinet. A ile mam ma swój pokój? Matki mają kuchnię, z gotowaniem dla wszystkich, duży pokój ze stołem nakrywanym dla wszystkich, łazienkę z praniem, kąpaniem wszystkich. Och tak, mamy są szczęśliwe, jeśli mieszkanie jest tak duże, żeby starczyło pokoi dla dzieci i żeby można było nie spać na rozkładanej kanapie w dużym pokoju. Mamy czasem, po cichutku, zazdroszczą singielkom ich mieszkań dla siebie, czasu na długie leżenie w wannie, której nie trzeba opuszczać, bo czeka kolejka chętnych. Dużo samodzielnych kobiet ma już własne mieszkania i własny dochód. Bardzo

życzyłabym wszystkim, żeby stało się to możliwe i zwyczajne.

Prawdziwe kłopoty

•

Kiedy wszystko idzie dobrze – narzekamy, chcemy, by było jeszcze lepiej.

ODWIEDZIŁ NAS ZNAJOMY, O KTÓRYM JEGO WŁASNE DZIECKO MAWIA, ŻE GŁÓWNIE BYWA PONURY. Ma on w sobie wdzięk Kłapouchego, który jedni wielbią, a innych złości. My lubimy, ale też życzliwie się podśmiewamy, kiedy o licznych swych sukcesach opowiada nam ze smutną miną i zbolałym głosem. Mieszkanie kupił, stopnie naukowe zyskuje, samochody ma coraz lepsze, dziecko się dobrze ożeniło, książki wydaje… Ale cieszyć się nie ma czym… Tym razem opowiedział o wielu poważnych chorobach w najbliższej

rodzinie. Przykro mu, przejmuje się i podejmuje sensowne, konkretne ruchy, żeby pomóc, zaradzić. Edek zauważył: „Jesteś w świetnej formie”. „Tak – chętnie przyznał nasz bohater – bardzo lubię radzić sobie z kłopotami zewnętrznymi. Wiem wtedy, co robić!” „A te wewnętrzne to głównie neuroza?” – ni to zapytałam, ni to stwierdziłam. Zaśmiał się: „Oczywiście”. Ta postawa daje się zauważyć nader powszechnie. Kiedy wszystko idzie dobrze – marudzimy, narzekamy, chętnie wyobrażamy sobie, jak dopiero byłoby dobrze, gdyby było jeszcze lepiej. Na przykład jesteśmy na urlopie, który byłby naprawdę udany, gdyby codziennie świeciło słońce. Ale kiedy zdarzy nam się np. złamać nogę, natychmiast nasza uwaga przesuwa się wyłącznie tam, gdzie boli, trzeba załatwiać lekarzy, a poruszanie staje się problemem... Wtedy zdajemy sobie sprawę, jak fajnie było jeszcze wczoraj. Co nam przeszkadzało cieszyć się

wczoraj? To postawa, która nazywa się roszczeniowością. Istnieją jednostki, które nigdy i z niczego nie są zadowolone, za to są skłonne wykazać wszystkim naokoło, czego nie robią, a powinni. Inni z kolei z siebie samych są wiecznie niezadowoleni. Jedni są przeciw światu, drudzy przeciw sobie. Obie grupy zrównałabym w tym, że są przeciw ŻYCIU. Takim, jakie ono jest. Źródeł tej postawy upatruję w rozziewie między bolesną realnością naszego wychowania a niczym nieskrępowaną wewnętrzną tendencją do tworzenia idealnych marzeń mających zmniejszyć nasz ból. Bo naprawdę cierpimy od małego. Nie dowiadujemy się od naszych Najważniejszych, że jesteśmy radośnie oczekiwanym cudem tego świata wyposażonym we wszystko, co trzeba. Przeciwnie, nieustannie dowiadujemy się, że jesteśmy nie tacy – niegrzeczni, niełądni, głupi, za powolni, za głośni, za leniwi. Nie tak zdolni jak kuzynka lub syn sąsiadów. Nie tak

fajni, żeby nasi Najważniejsi się z nas cieszyli. Nie wiemy, że ich też wychowano roszczeniowo, że są z siebie niezadowoleni i projektują to na nas. Jesteśmy dziećmi i wierzymy im, że to my jesteśmy nie w porządku. A w środku marzymy o sukcesach, które wszystkim udowodnią naszą wartość, o kimś, kto będzie nas kochał bezwarunkowo. Te marzenia niczym nieskrępowane nie są realne, nie przystają do życia. Są niespełnialne, więc powodują dodatkowy ból. Co jest więc rozwiązaniem? Świadomość. Akceptacja. Siebie. Życia. Jest taki słodki dowcip: Piotruś nie mówi od sześciu lat, aż raz, po obiedzie, odzywa się: „A gdzie kompot?!”. Rodzina przejęta wykrzykuje chórem: „Piotrusiu, czemu ty nic dotąd nie mówiłeś?!”. „Bo zawsze był”. Nie zapomnę nigdy opowieści o tym, jak gdzieś pod granicą, w szpitalu psychiatrycznym, tkwili sobie bezpiecznie pacjenci – katatonicy. Na wieść o wojnie i zbliżaniu się wojsk

niemieckich podnieśli się ze swoich nieruchomych od lat pozycji, wzięli pod pachę koce i uciekli gdzie pieprz rośnie. Boże, użycz nam pogody ducha, byśmy znosili to, czego zmienić nie możemy, odwagi, abyśmy zmieniali to, co zmienić możemy, i mądrości, abyśmy odróżniali jedno od drugiego.

Nasi dziadkowie

•

Dla każdego człowieka jedną z ważniejszych potrzeb jest potrzeba przynależności.

40-LETNI MAREK OPOWIADA O DZIADKU. Dziadek mieszkał w swojej wiejskiej posiadłości. Miał czterech synów. A we wsi był jeden kowal. Kiedy najmłodszy syn dziadka założył sobie na głowę fajerkę z pieca i nie mógł jej zdjąć, kowal bardzo się przydał, rozgrzał ją, delikatnie naciął i zdjął. To samo musiał zrobić, kiedy drugi z kolei syn dziadka nadział sobie na głowę fajerkę, żeby sprawdzić empirycznie, jak to działa. A zaraz potem zrobił to i trzeci. Rzecz się trochę rozniosła po okolicy. Udało się dziadkowi uchować przed

tym wyczynem tylko czwartego syna, natomiast gdy bawili u niego znajomi, rozochocony dziadek pokazał swoim gościom, jak to jego synowie poczynali sobie z fajerkami. Włożył sobie na głowę fajerkę i nie mógł jej zdjąć! Tym razem radość kowala była jeszcze większa. Tenże dziadek miał chory ząb. We wsi był też stomatolog. Dziadek jednak poprzysiągł sobie, że żadnych nowinek popierać nie będzie. Z bolącym zębem idzie się do kowala, aby go wyrwać, i już. Szczególnie że kowal sprawdzony. Ale kowal nie chciał. Mówił, że jak tymi cęgami za ząb złapie, to może ukruszyć, i żeby dziadek poszedł do stomatologa. Cwany dziadek wziął się jednak na sposób. Udał się do ulubionego kowala z dużą ilością gorzały. Spił jego i siebie… I już bez najmniejszych oporów kowal ząb dziadkowi po pijaku wyjął. I nic a nic go nie ukruszył. Tylko że na drugi dzień okazało się, że się panom zęby pomyliły i wyrwany został ten obok chorego. I tak

dziadek musiał jednak odwiedzić stomatologa. Słuchałam tych opowieści, chichrając się i zazdroszcząc Markowi dziadka z fantazją. Nie miałam żadnego dziadka. Jedynej babci nie lubiłam. Gdy miałam ze cztery lata, kazała mi klękać w lesie na igiełkach i śpiewać długie nowenny. Ale moja mama lubiła swoją babcię, czyli moją prababcię, której nie znałam. Słynne było wysyłanie przez prababcię dziewczynek do pana rzeźnika. „Wejdź, dziecko, ukłoń się ładnie, powiedz: «Dzień dobry, jestem wnuczka babci Ewci i proszę ładnej szynki»”. Kiedy mama wysyłała mnie małą na zakupy, mówiła: „Ukłoń się ładnie, powiedz: «Dzień dobry, jestem wnuczka babci Ewci»”. Bardzo mnie to bawiło. Większość rodzin ma takie opowieści o przodkach, choć może trudno przebić tę o fajerkach. Często słyszę opowieści o drętwych rodzinnych obiadach, spotkaniach świątecznych, gdy nie wiadomo, o czym rozmawiać. Namawiam: Dopóki żyją

wasi rodzice, a co dopiero dziadkowie, pradziadkowie, przepytujcie o ich przeszłość. Z zainteresowaniem i życzliwością. Po prostu słuchajcie. Usłyszycie rzeczy przedziwne. I straszne, i śmieszne. I zadziwicie się nieraz. A to odwagą mamy, a to romantycznością dziadka lub hulaszczym trybem życia stryjenki. Tak jak w wielu polskich domach, u nas dużo opowiadało się o czasach drugiej wojny światowej. Dziadkowie i rodzice dokonywali niezwykłych czynów. Zostały te opowieści we mnie na zawsze. Chłonęłam je ze wzruszeniem i przejęciem, jestem o nie bogatsza. Mam głębiej wrośnięte korzenie, nie tylko osobiste. Jestem Z NICH. Dla każdego człowieka jedną z ważniejszych potrzeb jest potrzeba przynależności. Spełnia ją przynależenie do nazwiska, rodziny, domu, ulicy, wsi czy miasta, w których się żyje, do ojczyzny. Wszyscy wiemy, że też do historii. Ale historie naszych rodzin są różne i różnie naświetlają historię wspólną. To też istotna

przynależność. Inna jest historia emigrantów, wysiedlanych czy przesiedlanych. Inna tych zawsze biednych, inna bogatych, inna tracących majątki.

Moja mama przyjaźniła się z Dolą Gajerową. Z „tych” Gajerów łódzkich. Dola wyglądała jak angielska lady. Mieszkała w kołchozowym mieszkaniu, w jednym pokoju, w kamienicy, która kiedyś, jak i wiele innych, należała do jej rodziny. Podawała nam herbatę w prześlicznych filiżankach i nigdy, nigdy nie narzekała.

Odwaga uczciwości własnej

•

Śmiejąc się z siebie, z własnego lęku, a zwłaszcza cierpienia, stajemy się wolni.

ODWAŻNY TO TEN, KTO JEST NIEWYSTRASZONY WŁASNYM LĘKIEM. Czuje go, ale się go nie boi. Bać się bania to jedna z głównych osi nerwicy – tego przekleństwa naszych czasów. Moja niania śpiewała smutne piosenki. „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas, za dzień, za rok, za chwilę razem nie będzie nas”. Gdy to słyszałam, bardzo płakałam. Czułam całym swoim przepełnionym smutkiem sercem, że życie przynosi bardzo wiele bólu. Później

płakałam jako młoda panienka, śpiewając przepiękne: „Pamiętasz, była jesień (…) odszedłeś potem nagle (…)”. Ledwo zaczynałam życie, już się żegnałam… Aż dzięki intensywnej pracy terapeutycznej nad sobą poczułam, że śpiewam te cudne pieśni z lekkością i radością. Pogratulowałam sobie. Zdrowieję. Bo wesołość jest rodzajem odwagi. Kiedy zaczynamy się śmiać: z siebie, z własnego lęku, a już szczególnie z własnego cierpienia, śmiać się serdecznie, nie ironicznie ani szyderczo – stajemy się wolni, mamy sprzymierzeńca w sobie. Idziemy naszą drogą życia, nawet czasem świadomie ją wybieramy, jednak nie znamy jej końca ani odległych jej etapów. To wymaga odwagi. Decyzje, podjęcie nowych działań, nowych dróg, nowych związków lub głębokich związków. Pytają Mistrza: „Czego ludzie pragną najbardziej?” „Miłości”. „A czego boją się najbardziej?” „Miłości”. Søren Kierkegaard powiedział: „Trzeba mieć

niemało odwagi, aby się ukazać takim, jakim się jest naprawdę”. A tego właśnie potrzebujemy, by była miłość lub przyjaźń. Carl Gustav Jung mówi: „Kiedy się wybierasz na spotkanie z sobą – ryzykujesz spotkanie siebie”. Najpowszechniej odwaga kojarzy nam się z męstwem na polu bitwy. Z pojedynkami o honor. Z dawaniem sobie rady w trudnych czasach, wychowywaniem dzieci przez samotne matki. Z wchodzeniem w paszczę lwa, wyprawą po złote runo lub „złotem dla zuchwałych”, napadami na bank. Powyżej cytowani mędrcy zwracają uwagę na odwagę własnej uczciwości. Mój ulubiony filozof William James miał fajną babcię. Mówiła do niego: „Jeśli potrzebny ci uśmiech, przywołaj go na twarz i poczuj, jak ogarnia ciebie całego”. Taki wzór przyniósł efekt w postaci filozofii pragmatyzmu. James radzi: „Jeśli czujesz lęk, działaj tak, jak gdybyś był dzielny. Jest bardzo prawdopodobne, że atak odwagi zastąpi atak lęku!”. Cóż to oznacza?

Ty Duży weź siebie Małego przestraszonego za łapkę i pójdźcie razem tam, dokąd chcecie. Kiedy byłeś mały, może zabrakło obecności naprawdę wspierających dorosłych. Często wychowawcom i rodzicom wydaje się, że nas czegoś uczą, strasząc nas lub zmuszając do czegoś. Przyjrzyjmy się przykładom. Jesteśmy nad morzem w lecie. Interesują nas maluchy, które pierwszy raz zobaczyły morze. Jeden pędzi z okrzykiem zachwytu, wpada do wody, rozbryzguje ją wokół, śmieje się głośno. Ekstaza szczęścia i przyjemności. Drugi powolutku podchodzi do brzegu. Jedną stópką próbuje, co to jest ta woda. Potem drugą. Wchodzi wolno, w ciszy. Trochę się cofa. Znowu wchodzi. Rozgląda się. Wkłada ręce, przelewa wodę. Ekstaza skupienia i poznawania. Która lepsza? Żadna. Obie. A teraz wyobraźmy sobie, że obok tego pędzącego kręci się mamusia i krzyczy: „Nie pędź tak do wody, wychodź szybko, bo ci się coś stanie!”. A obok tego skupionego tatuś

wydziera się: „Co ty się zachowujesz jak baba?! Nie bój się, tchórzu, wskakuj szybko!”. Znamy to? Byliśmy temu poddawani, sami to innym robimy. Z rozpędu, z przyzwyczajenia, bezmyślności, z nieuwagi, z chęci odwetu, nieżyczliwości. Ta epidemia przekazywana z pokolenia na pokolenie trwa. Ale my mówmy: STOP. Dzielmy się sobą. Dzielmy się ODWAGĄ.

Lek
na głupotę

•

Opowieść kobiety, która potrafi korzystać ze swoich snów.

LEŻAŁAM W ŁÓŻKU I MARZYŁAM. Nie chciało mi się spać. Chciało mi się marzyć. Ulecieć od siebie zwykłej, nieciekawej, nie najładniejszej, nieudanej, niezadowolonej z życia. W marzeniach piękniałam z minuty na minutę. Bo jeśli marzę, to przecież mogę wyczarować wszystko, co zechcę, nie muszę się ograniczać, prawda? Po co zresztą się ograniczać, skoro chcę się znaleźć jak najdalej STĄD? Więc wyobrażałam sobie siebie bezpieczną, przepiękną, arcymądrą, przebogatą, uznaną, docenioną, sławną, pożądaną, jedyną taką na całym świecie.

Ofiarowałam sobie WSZYSTKO! Potem usnęłam. Śniłam. I miałam. Byłam najpiękniejsza. Miałam cudowne ciało, giętkie, długie, bujne. Ruchy pantery, włosy rusałki, głęboki, obezwładniający głos. Mówiłam kilkunastoma językami z taką samą łatwością. Umiałam pisać najlepsze książki, mnożyć niebywałe pieniądze. Występowałam na scenie, w filmach, śpiewałam każdy rodzaj muzyki, wydawałam książki, płyty, byłam top modelką. We wszystkim rewelacyjna. Byłam dobrem światowym. Wszędzie znana i podziwiana jak nikt dotąd. Byłam witana z otwartymi ramionami, na klęczkach, w niemym i okazywanym głośno uwielbieniu.

Prowadziłam ogromną akcję charytatywną dla dobra całego świata. Z pompą, gośćmi królewskimi i z całej high society. Miałam rzesze pracowników oddanych mi na każde skinienie. Byłam niezwykle szanowana. Wszyscy wiedzieli, że jestem geniuszem. Byłam pożądana i upragniona tak jak żadna

kobieta dotąd. Kochali mnie prezes prezesów i prezydent prezydentów. Trochę mnie to bawiło. Pozwalałam się uwielbiać. Po jakimś czasie poczułam: „Na co mi oni?”. Więc kochał mnie bosko przecudny kochanek, młody, gorący i namiętny. Byłam boginią seksu. Odprawiłam go. Pokochałam mądrą, wspaniałą kobietę, z którą byłam szczęśliwa parę lat. Rozumiałyśmy się, ceniłyśmy, fascynowałyśmy się sobą, działałyśmy wspólnie. Aż któregoś dnia ona spojrzała w moje oczy i powiedziała z bólem: „Już mnie nie kochasz”. „Tak” – odpowiedziałam. Byłam pusta i obojętna. Na wszystkich i na wszystko. Nie chciałam nic i nikogo. Nie miałam swojego miejsca pomimo pałaców, willi, chat nad oceanem i w lesie. Nie obchodziło mnie nic ani ja sama. Zrzekłam się całej władzy i bogactwa na rzecz młodej, prężnej dziewczyny. Czułam, że teraz mogłabym wyjść poza wszystkie osłony, obrony, i mogłabym się dać zabić. Wyobrażałam to sobie z nadzieją:

Bach, strzelają, trafiają, bach… Ale to była tylko nieudana ucieczka. Przed niczym. Moja ukochana szukała dla mnie miejsca, zajęcia, towarzystwa. Współczuła. Korzystałam z tego nawet z poświatą wdzięczności, ale nic nie działało. Pomogła medytacja – bo była pustką. Jedno powoli zaczęło przynosić poczucie istnienia.

Praca w ogrodzie. Pieliłam, przycinałam, wyrywałam chwasty, grabiłam, podlewałam. Tylko to miało jakiś sens. Rośliny, ich cicha intensywna obecność. Ich życie dla życia. Chciałam móc wyjść na ulicę i nie powodować zbiegowiska, nie wywoływać zachwytu, nie ściągać uwagi. Chciałam obciąć i skołtunić sobie włosy, usmarować twarz i włożyć na siebie worek, ale to dopiero wzbudziłoby sensację. Wielkie ciemne okulary były akurat modne, poza tym cokolwiek bym na siebie założyła, wyglądałam tak, że wszyscy tylko na mnie chcieli patrzeć. To było przekleństwo. Czułam, że mam tylko jeden ratunek. Obudzić

się. Więc to zrobiłam. Z ogromną ulgą wstałam z łóżka w moim niedoskonale uformowanym ciele, z radością popatrzyłam w lustro na średnio udaną twarz. Życzliwie przywitałam sztywność moich ruchów. Spojrzałam w moje życie. Czekał na mnie prawdziwy ogród.

Święto rozwodu

•

Wspólnie można niszczyć pamiątki po byłych, palić ich zdjęcia.

NA PEWNYM SPOTKANIU TOWARZYSKIM ROZMAWIAŁO SIĘ O CIEKAWYCH ZAJĘCIACH POWSTAŁYCH Z DUCHA CZASÓW. Wygrało zajęcie polegające na kupowaniu książek do nowych rezydencji. Na metry, na tematy: marynistyka, sztuka, najmodniejsi pisarze. Miły snobizm, może ktoś z gości zajrzy do książki nad basenem.

Jedna z dam, która ma świetną pracę i nowej dla siebie nie szuka, odkryła pewną niszę i pozwoliła o tym napisać. Otóż mogłaby to być firma urządzająca spotkania

rozwodowe. Natychmiast sobie przypomniałam, że byłam na takich co najmniej dwóch. Może naprawdę jest coś na rzeczy? Ludzie się często strasznie cieszą, że się nareszcie rozwiedli. I można to przecież uczcić w wybranym gronie. Ile się tu otwiera możliwości! Maleńkie grono przyjaciółek lub przyjaciół w knajpeczce lub w domu. Biesiada rozwodowa dla sąsiadów, urządzana przez tę stronę, która zostaje na miejscu i chce pokazać okolicznej ludności, że nadal warto z nią utrzymywać stosunki. Wykwintny obiad dla rodziny w zamkniętej sali eleganckiej restauracji. I okolicznościowe przemówienia. „Droga córko, witamy cię z powrotem na naszym łonie”. I poważna, wzruszona odpowiedź: „Dopiero teraz uczciwie przyznaję wam, drodzy rodzice, że mieliście rację, nie pozwalając mi się zadawać z tym łajdakiem. A ja, nieszczęsna, wyszłam za niego za mąż. Przejrzałam na oczy i teraz dziękuję wam, że szlachetnie nie mówicie: A nie mówiliśmy,

tylko włączacie mnie znów do waszego grona”. Lub: „I widzisz, drogi synu, nareszcie zmądrzałeś, posłuchaj mojego kochającego serca i poznaj, proszę, tę oto przemiłą osobę, którą znam od lat i która wiernie czeka na ciebie, a będzie dla ciebie dobra jak ja, twoja matka”. Na co syn: „O mamo, już nigdy niczego bez ciebie nie postanowię w sprawach tak ważnych dla mojego życia”. To jest wersja dla tych, którzy po niesatysfakcjonującym związku pragną szybciutko z powrotem na kimś się oprzeć, a pępowiny dotąd nie odcięli. Jeśli była para wspólnie prowadziła firmę, warto zaprosić tę połowę lub część firmy, która przy nas została. Lub jeszcze się waha. Podobnie ze znajomymi. Nie da się ich przecież po prostu podzielić na pół. Chyba że część z nich też się akurat rozwiodła. Może się wtedy odbyć jakże huczne przyjęcie składkowe dla wielu naraz uwolnionych. Mogą się tu znaleźć liczne atrakcje. Na przykład rzucanie rzutkami do planszy

przedstawiających naszych eksów, ze szczególnym uwzględnieniem niektórych ich części ciała, np. tych, z których byli szczególnie dumni. Z wybuchami radości: „No i widzisz, co zostało z tej twojej klaty?!”. Można urządzić kącik z zabawianiem się laleczkami wudu. Szamanów i szamanek też mamy coraz więcej do wynajmowania. Wspólnie można niszczyć pamiątki po byłych, palić ich zdjęcia. Wielkie znaczenie ma tu dobór gości, w którym może dopomóc firma urządzająca przyjęcie. Przydatna będzie tu terapeutyczna rozmowa i ustalenie, jakim celom ma służyć impreza: odreagowaniu, ośmieszeniu eksa przed byłymi znajomymi czy po prostu pośmianiu się i odkryciu, że życie nadal ma sens. Można więc skorzystać z pamięci znajomych i przyjaciół w celu przypomnienia anegdot mniej lub bardziej serdecznych, wcześniej przygotowanych lub opowiadanych ad hoc. Wydaje się, że szczególnym typem przyjęcia rozwodowego

jest takie, w którym biorą udział obie rozwiedzione strony, poczynając od prostego pójścia po rozprawie razem na wódkę, aż do wielkiego balu z wszystkimi wspólnymi znajomymi, żeby ich uspokoić, że nadal mogą zapraszać i lubić nas oboje.

Cierpliwość

•

Życie nie zacznie się, kiedy zrobię maturę, wyjdę za mąż, zarobię…

KIEDY BYŁAM MŁODZIEŻĄ, CIERPLIWOŚĆ WYDAWAŁA MI SIĘ CECHĄ LUDZI STARYCH I DO TEGO NIECIEKAWYCH, czyli takich, co to już nic ich nie obchodzi, do niczego się nie palą i właśnie głównie są na tyle cierpliwi, żeby siedzieć i czekać nie wiadomo na co. Kiedy się jest dzieckiem, tyle rzeczy jest nowych, pierwszych, nieznanych. Do tylu przeżyć, możliwości działania się spieszymy, pędzimy nawet. Podejrzewamy dorosłych, że chcą coś przed nami ukryć, zostawić tylko dla siebie; te fascynujące zabawy, prawa do samostanowienia, tę wolność. Dorastałam

długo, ale z chęcią. Fascynuje mnie bycie odpowiedzialną i wolną. Niezwykle cieszyłam się, gdy sama odkryłam, jak cenne są moje błędy, że nie zwalam ich konsekwencji na innych.

Zrozumiałam, że dorosłość to nie robienie tego, czego się chce, ale robienie tego, co się może i chce. I jeszcze, że najlepiej robić to, co WARTO. I że ja o tym decyduję. Nie zawsze umiem zdecydować i wybrać. Ale jeśli nie wybieram, bo nie wiem, co zdecydować, to przecież wstrzymując się, też podejmuję decyzję: unikam lub rezygnuję. Dopracowałam się powoli cnoty cierpliwości, bo za taką ją zaczęłam uważać. Szło to w parze z satysfakcją ze zmian, jakie przynosi życie. Bo już nie pędzę, ale rozumiem, że się doczekałam tylu obszarów spokoju, pewności, braku lęku. Już nie uważam, że lepsze życie toczy się tam, gdzie mnie nie ma, więc muszę się starać tam znaleźć. I że strasznie fajnie jest siedzieć

i być. Parę lat temu z wielkim zdziwieniem, ale też z wielką radością zdecydowałam, że chcę zbudować dom. Ze zdziwieniem, bo długie lata byłam przekonana, że domu nie chcę. Przyjaciele i znajomi dawno pokupowali działki, a my nic. Ale z radością, jak dzieci, zaczęliśmy działki szukać. Książkę by o tym napisać... Miejsce jest, w okolicach ukochanego Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Ze spokojem zaczęliśmy prace przygotowawcze, projekty, budowę, wykańczanie w poczuciu, że ludzie tutaj są wspaniali, fachowcy świetni i sympatyczni i że cierpliwie, nie poganiając siebie ani nikogo, doczekamy się dnia wprowadzenia. A tu mija kolejne lato, które miało przynieść spełnienie, a my ciągle czekamy. Już parę razy „zrywałam się do lotu”, bo uwielbiam urządzać wnętrza, i zaczęłam czuć, że buksuję w miejscu. Rozchorowałam się poważnie, pewnie dlatego, że czułam się na zmianę wściekła, rozżalona i zrezygnowana. Moja

cierpliwość zachorowała. Co źle zrobiłam? Przecież wiadomo, że budowy się przedłużają itd. Mnóstwo Drogich Czytelniczek tylko pokiwa głową… Wy to świetnie wiecie. Wszyscy, którzy remontują i budują, to znają… Czy zawiodła mnie moja umiejętność cierpliwości? Nie! Odwrotnie – to ja ją zawiodłam. Zapomniałam pewną mądrość, która polega na nieprzywiązywaniu się. Zaraz wytłumaczę. Tłumaczę to teraz sobie. Może Wam też się przyda. Tak się oddałam temu budowaniu, że prawie wszystko mu podporządkowałam. Za dużo pracowałam i uparłam się wewnątrz siebie, że nie wyjadę na żaden urlop, bo go sobie przygotowuję w nowym domu właśnie na TO lato. To miała być nagroda, na którą czekałam. Nie wiem, czy była możliwa. Pewnie nie, skoro nie nadeszła. Zmęczyłam się bardzo. Obraziłam się, że moje zmęczenie nie zostało nagrodzone według mojego scenariusza. Kolejny raz dowiedziałam się, że mam dobrze żyć

niezależnie od tego, co się dzieje, że niczego nie należy odkładać, że sobą nie wolno manipulować. Życie nie zacznie się, kiedy zrobię maturę, skończę studia, wyjdę za mąż, urodzę dzieci, odchowam dzieci, schudnę, zarobię, zostanę prezydentem, skończę dom… Życie jest teraz. Przepraszam Cię, Kasiu.

Kongres kobiet i mężczyzn

•

Miałam sen.
Przyśnił mi się kongres
kobiet i mężczyzn.

MOŻE W NASZEJ ZBIOROWEJ NIEŚWIADOMOŚCI ZACZYNAMY BYĆ DO TEGO GOTOWI. Przypominając sobie, co się działo, zauważyłam, że najmniej było w tym przedsięwzięciu słów! Za to masa akcji. Obrazowo było najbliżej do filmów Felliniego: niesłychanie bujnie, kolorowo i emocjonalnie. Pamiętacie *Miasto kobiet*?! Jednak nad wszystkimi wisiał wymóg i wspólna umowa o braku używania przemocy. Można ją

było, a nawet trzeba – markować. Ponieważ kolejnym założeniem było ujawnianie prawdy, a przemoc jest jedną z ważnych, istniejących postaw obu płci wobec siebie.

Całe wielkie miasto zajęte było przez kongres. Odbywały się pokazy wszelkich możliwych relacji damsko-męskich. Prawdziwych relacji. Bez udawania. Bez *political correctness*.

Była wielka aleja młodych i niemłodych mężczyzn nastawionych nie na wykształcenie i pracę, tylko na bycie samcem typu macho. Gwizdami i niewybrednymi uwagami obdarowywali przechodzące kobiety, wciągając te, które im się podobały seksualnie, w ustronne miejsca. Kobiety, które miały na to ochotę, szły z nimi na tak długo, jak chciały. Zdarzało się, że wołały inne kobiety, żeby je odbiły z „jasyru”.

Była dzielnica gejów, którzy kobiet w ogóle nie wpuszczali, i taka, gdzie geje mieszkali ze swoimi przyjaciółkami lub bawili się razem

z nimi. Ulica lesbijek zamknięta dla mężczyzn i zaułek Wspólnoty, gdzie kobiety lesbijki mogły zrobić sobie dzieci z mężczyznami hetero- i homoseksualnymi, a mężczyźni homo – z kobietami. Dużym powodzeniem cieszył się ogromny plac Przyjaźni; na nim gospodarzyli biseksi, którzy zapraszali wszystkich do zabawy i nakrytych stołów. Biesiadowano tam, śpiewano, tańczono. Była ulica kobiet w różnym wieku, które ustalały z mężczyznami to, co byłoby możliwe między nimi: małżeństwo, ojcostwo, pieniądze, przyjaźń czy romans… Był bulwar, na którym kwitły usługi seksualne i erotyczne za pieniądze dla obu płci, na różnym poziomie drożyzny lub taniości, i ulica Duchowych Intencji pełna modlitw, medytacji, uzdrowicieli, kapłanek i wyznawców różnych religii oraz światopoglądów. Był namiot cyrkowy z akrobatami i akrobatkami, którzy chwytali siebie w locie, teatry, teatrzyki, kina, kabarety, wystawiające sztuki i filmy

o wszelkich związkach międzyludzkich na śmiesznie, strasznie i niezwykle poważnie. Odbywały się sympozja naukowe z udziałem słynnych uczonych i ekspertów. Wytworne bale dla tych, którzy nie lubią pospolitować się z tłumem. I konferencje, gdzie kłócono się o modele wychowania dzieci obu płci: koedukacyjnie czy nie, z podręcznikiem wychowania seksualnego czy bez, z prawem homoseksualistów do bycia nauczycielami, z wyrzucaniem ze szkoły dziewczynek w ciąży czy nie.

Wszyscy mogli się przemieszczać tam, gdzie chcieli, i robili to. Był skwer starszych, bogatych panów, którzy zawzięcie szukali młodych panien do zajęcia się nimi. Starsi panowie o mniejszym już znacznie libido zajęli inne miejsce – park Zakochanych przed operą, w którym dzielili ławeczki z młodymi zakochanymi parami różnych układów.

Odwiedziłam wielkie osiedle starych kobiet, które na czas kongresu zgodziły się

pilnować dzieci i młodszej młodzieży. Powstał jednak na szczęście wśród nich pomysł, że to już ostatni raz, bo one też mają dużo do powiedzenia i pokazania w innych obszarach. Wzięłam więc udział w przygotowaniach kolejnego kongresu i obudziłam się.

Nie wszystko obejrzałam, nie wszystko pamiętam, ale ufam, że podejmiecie inicjatywę i wspólnie nie zapomnimy o niczym ważnym.

Sknerstwo emocjonalne

•

Jest sporo powodów, dlaczego nie jest nam w naszym kraju tak cudnie, jak by mogło nam być.

NIE BĘDĘ WYLICZAĆ, SZCZEGÓLNIE ŻE WSZYSTKIM W GUST NIE UTRAFIĘ. Ale nadmienię dziś o jednym z aspektów tego braku. Niektórzy nazywają go społeczną nieżyczliwością. Ta nazwa zakłada pewną zamierzoną, może nawet świadomą, postawę: Wiem, czym jest życzliwość, ale mi się nie chce lub nie mam zamiaru jej stosować, lub nie jesteście jej ludzie godni, jakbyście byli godni, tobyście dostali. Więc tak rozumianą nieżyczliwość nieżyczliwie krytykujemy

i nawołujemy, żeby jednak życzliwości nie szczędzić.

Chcę Wam zwrócić uwagę, że patrzymy na rzecz od odwrotnej strony. Często tak robimy. Na przykład ktoś mówi do nas: „Jesteś okropna”. Co się w nas dzieje? Oprócz wyjątkowych jednostek tzw. większość przeżywa bukiet nieprzyjemnych uczuć. Są wśród nich złość na tę osobę, przykrość, niepokój, wstyd, obawa typu: Co ja znowu zrobiłam niefajnego?, chęć ucieczki lub walki, potrzeba wytłumaczenia się, ale i ochota powiedzenia: „To ty jesteś okropna!”. Odzywa się w nas również lęk typu szkolne wezwanie do dyrektora: Znowu się coś złego o mnie wydało! Brrr…

Jednej rzeczy tu nie ma. Najczęściej. Brak refleksji. Refleksji na temat tej osoby, która tę wstrętną i bolesną ocenę nas wyprodukowała. Oczywiście myślimy lub mówimy o niej: „A to świnia!”. Ale to nie jest refleksja na jej temat. To okrzyk bólu i odwetu. „Jesteś

głupia” – „Nie, to ty jesteś głupia”. Jesteś głupia lub świnia, bo źle o mnie mówisz lub myślisz.

A teraz wyobraźcie sobie, że odpowiadamy napastnikowi: „Przykro mi, że źle się dziś czujesz”. On(a) z rozpędu może odpowiedzieć: „Co ty pieprzysz?”. A my na to: „Wcale nie pieprzę, tylko rozumiem, że gdybyś się dobrze czuł(a), nie musiał(a)byś w ogóle tak do mnie mówić!”. Co się tu stało? Zauważacie?! W ogóle nie wzięliśmy NA SIEBIE tej suponowanej nam okropności. Możemy sobie pójść dalej z niezmąconą pogodą ducha. Lepiej: Odwróciliśmy wektor do autora tekstu, że warto byłoby zająć się SOBĄ SAMYM. Nie nami. Nami zajmujemy się my sami. Życzliwie. Dlatego STAĆ nas na życzliwość lub przynajmniej tolerancję dla innych. Nie mówimy: „Jesteś nienormalny, idź do psychiatry”, tylko: „TY też jesteś ważny! BĄDŹ dla siebie ważny! Ja jestem dla siebie

ważny i ty też możesz. Jak będziesz dla siebie ważny, będziesz się coraz lepiej czuł i nie będzie ci potrzebne żadne umniejszanie innych”.

Czemu mówimy sobie tak mało naprawdę miłych słów? Tak rzadko się chwalimy, podziwiamy szczerze, zachwycamy sobą wzajem? Lubimy usłyszeć (inna rzecz, czy uwierzymy), ale mówić – żałujemy. Wcale nie dlatego, że ten drugi na to nie zasługuje. Zasługuje, jeśli mu się dobrze przyjrzeć. Coś by się zawsze znalazło! Nie, my żałujemy, bo sami mamy za mało. Jesteśmy rodzajem skner emocjonalnych, którzy nawet uściubili sobie trochę dobra emocjonalnego, ale boją się nim obracać. Boją się, że jak wydadzą monetę pochwały, to już ona do nich nie wróci. Przepadnie. Ten ktoś, kto ją dostał, porwie ją, schowa i nie odda nigdy. Nie wierzymy, że rozdawanie pomnaża. Że wróci więcej, niż wydaliśmy.

Dlaczego tak się dzieje? Bo tak kiedyś było. Tak paskudnie. Że dawaliśmy, wierzyliśmy, kochaliśmy. Całym sobą. I dostawaliśmy w zamian: „Co się tak głupio śmiejesz? Jeszcze się będziesz śmiać, jak sama będziesz mieć dzieci, dopiero zobaczysz!”, „A jakie ty możesz w ogóle mieć problemy? Masz co jeść i w co się ubrać!”, „Nie baw się z tymi z góry, bo to hołota!”, „Ja już sama nie wiem, co mam z tobą zrobić”, „Zobacz, ta pani cię zabierze!”.

Niestety, inżynier Mamoń mówił, że lubimy tylko te piosenki, które znamy…

Pomocne sny

•

Sny to królewska droga
do nieświadomości.

Carl Gustav Jung

PEWNEJ MOJEJ KLIENTCE PRZED ŚLUBEM ŚNIŁ SIĘ POGRZEB. Nie posłuchała ostrzeżenia. Żyła później w małżeństwie jak w grobie. Mąż był ponury i zgryźliwy... Inna klientka, członkini rozwojowej grupy terapeutycznej, wyśniła, że rodzi jej się śliczna dziewczynka, którą ona zajmuje się z wielką radością i wzruszeniem. I ona, i grupa wiedziały, że nie jest ona w ciąży, ale że odnalazła kontakt ze swoim Wewnętrznym Dzieckiem i że odtąd będzie jej z samą sobą coraz lepiej i łatwiej. Innej dziewczynie śniło się, że jest w łóżku ze swoim chłopakiem i podgląda ich jej matka ze

srogim wyrazem twarzy. Wiedziałyśmy już, skąd biorą się jej problemy w sferze seksualnej i że pracować należy najpierw nad relacją z mamą, a dopiero potem z chłopakiem.

Sny mogą doradzać, uprzedzać, wyjaśniać, diagnozować, uczyć, rozwiązywać problemy, koić, potwierdzać wybraną przez nas drogę lub przestrzegać przed nią. Ludzkość od zawsze szanowała sny. Starożytni władcy mieli speców od czytania snów i czasami byli od ich rad uzależnieni. Najzdrowiej mieć ze swoimi snami dobry kontakt samemu i być na nie uważnym.

Są osoby, które swoich snów nie pamiętają. Twierdzą, że nic im się nie śni. Jeśli się chce, można się nauczyć sny pamiętać. Nie każdy chce mieć kontakt ze swoim wnętrzem. Kto chce, niech poprosi o sny swoją nieświadomość. Żeby pamiętać sen, trzeba go sobie uświadomić i powtórzyć, zanim otworzy

się oczy. Początkujący powinni swoje sny zapisywać.

Czasem pojawiają się tzw. sny jasne – szczególnie wyraźne i istotne dla naszego życia i rozwoju.

Można pójść do szkoły snów. Ale nie radzę korzystać z popularnych senników, gdzie podawane są interpretacje typu: śnią ci się zęby, ktoś w rodzinie umrze. Już dawno temu wydano Psychoanalityczny Słownik Snów – naukowe opracowanie najczęściej występujących u ludzi obrazów sennych i ich psychoterapeutycznych interpretacji.

O znaczeniu snów przekonałam się już w szkole podstawowej. W mojej szkole budowano basen. W PRL! Wiedziałam, że będziemy mieć lekcje WF-u na basenie. A ja miałam za sobą paskudną traumę spowodowaną przez mojego ukochanego tatę, który szalenie rzadko bywał toksyczny. Niestety, nie tolerował mojego lęku, co

czasem ojcom się przydarza. Kulturowa rola mężczyzny przeniesiona na latorośl. Otóż ojciec zeźlił się, że nie od razu pływam na głębokiej wodzie. Wsadził mi głowę pod wodę i trzymał tak długo, że zaczęłam się dusić. No i byłam załatwiona. Na głębokiej wodzie miałam natychmiastowy atak lęku i spadałam na dno. A ogromnie mi zależało, żeby nie być melepetą na tym WF-ie. Zaczęłam ćwiczyć oddychanie pod wodą w misce w łazience i jakież było moje zdumienie i radość, gdy okazało się, że ćwiczę też we śnie. Noc w noc znajdowałam się w jeziorze i ćwiczyłam koordynację ruchów w „żabce". Robiłam to tak długo, aż stanęłam na słupku na basenie i z wielką satysfakcją dałam szusa „na głowę". Wypłynęłam w połowie basenu i chciało mi się krzyczeć z radości i dumy. Odtąd pływanie stało się jedną z moich rozkoszy.

O tym, jak poradziłam sobie z niezdecydowanym adoratorem (we śnie,

oczywiście), możecie przeczytać w zbiorze moich opowiadań erotycznych – *Słone ciasteczka*.

Miałam w liceum straszną wychowawczynię. Waliła nas linijką po rękach, wyzywała od bydlaków. Była stara i cierpiała na chorobę Basedowa związaną z nadczynnością tarczycy. Na mnie uwzięła się wyjątkowo, czepiała się mnie bez przerwy. Wyśniłam więc, że jest we mnie zakochana, i… Przestałam się bać i przejmować. Był to sen typu rekompensacja. Kiedyś chciałam wiedzieć, czy wróci do mnie ukochany, i baaaardzo prosiłam o odpowiedź. Przyszła tej samej nocy we śnie. Że wróci. I wrócił.

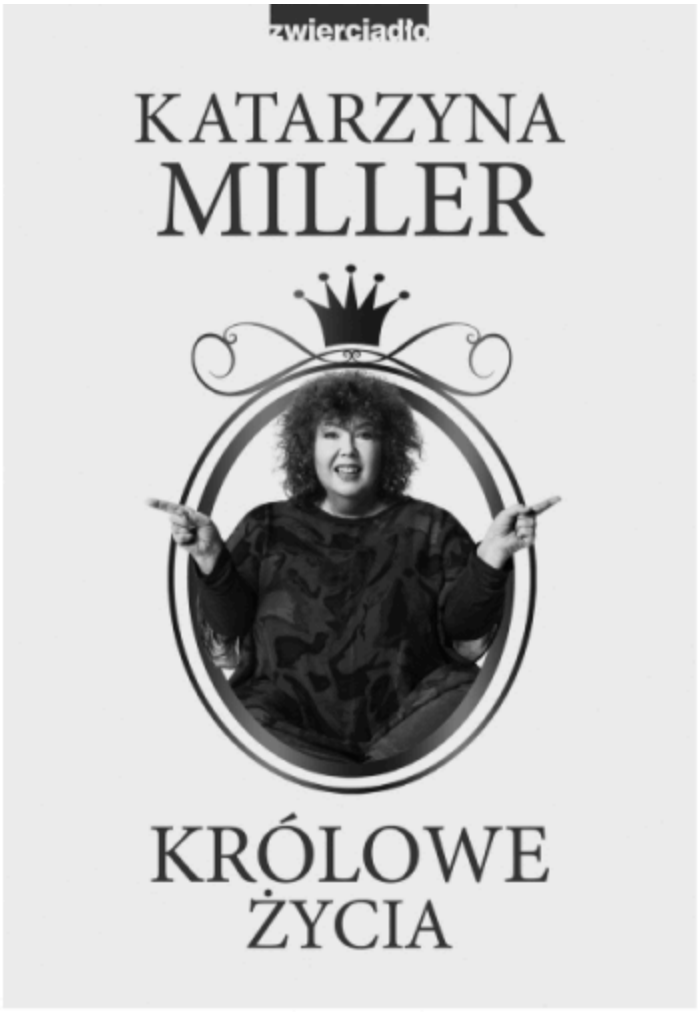

Królowe życia

Królowa życia? Która z nas nie chciałaby nią być. Może jeszcze tego nie wiesz, ale możesz nią zostać. W każdej chwili swojego życia. Znajdując siłę w sobie samej. W tej książce znajdziesz opowieści o kobietach, które to zrozumiały. Wygrały i zostały królowymi życia.

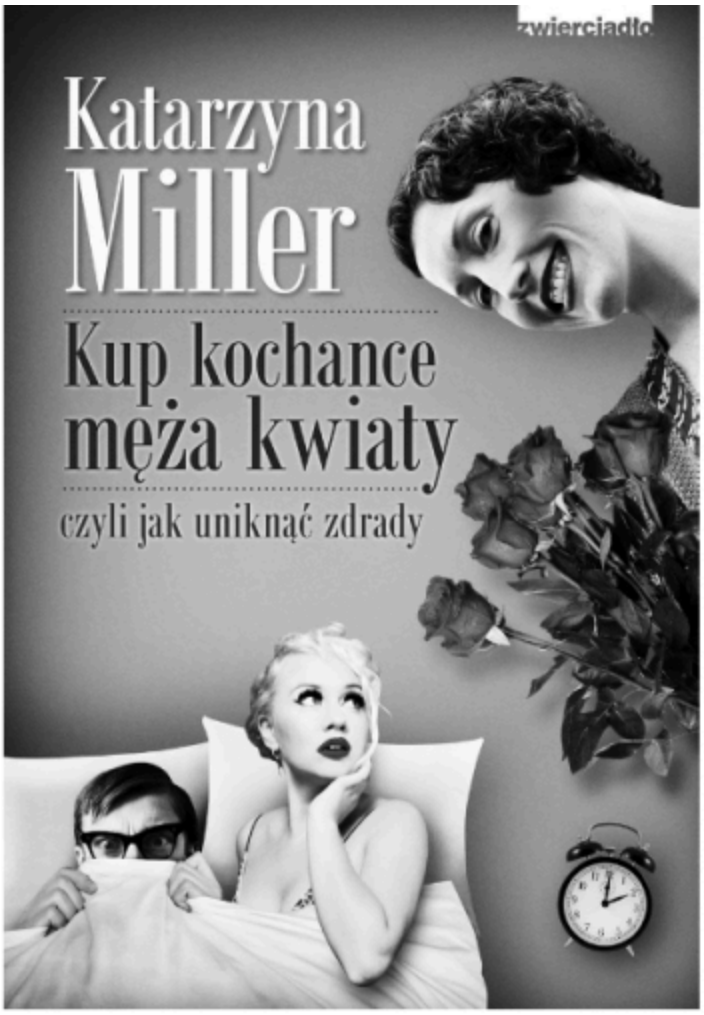

Kup kochance męża kwiaty

Zdrada to jedno z najboleśniejszych doświadczeń. Kryzys, z którego wiele par nigdy się nie podnosi. A może gdybyśmy tylko umieli spojrzeć na nią inaczej, mniej stereotypowo, mogłaby się stać początkiem zmian prowadzących nas do prawdziwego spełnienia. W tej książce znajdziesz porady jak uniknąć zdrady i jak sobie poradzić, kiedy się wydarzy.

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.
ul. Karowa 31a, 00-324 Warszawa
tel. 22 312 37 12

Dział handlowy:
handlowy@zwierciadlo.pl

© Copyright by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2013
Text © copyright by Katarzyna Miller 2013

•

Redakcja: Melanż
Korekty: Agnieszka Rytel / Melanż
Projekt okładki oraz projekt typograficzny:
Natalia Baranowska / manukastudio.pl
Skład: Maria Kowalewska
Redaktor prowadzący: Magdalena Chorębała
Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski
Zdjęcia: Heide Benser/Corbis/ FotoChannels (I. strona okładki)
ISBN (EPUB): 978-83-63014-70-4
Przygotowanie pliku ePub [wersja 1.0]:
Studio Haudek / haudek.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych,

odtwarzanie, w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.